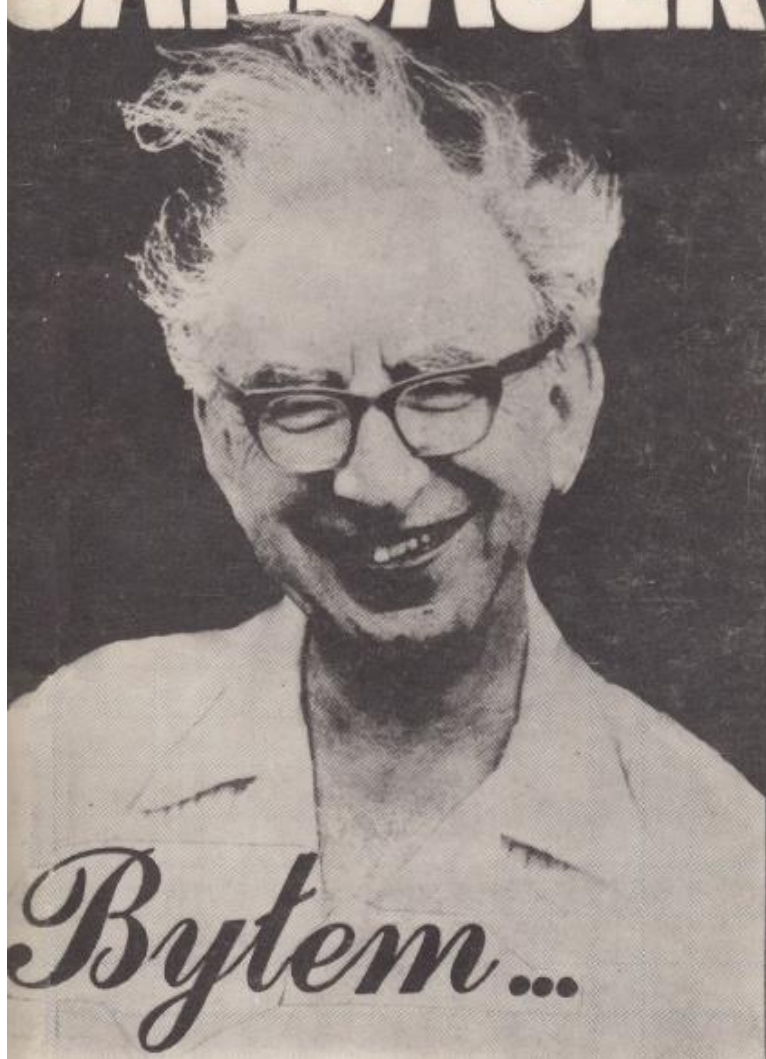


Artur
SANDAUER



Bytem...

Obwolutę, okładkę i strony tytułowe projektowała Teresa Kawińska
Copyright by Artur Sandauer, 1991

TSBN 83-06-02124-XSpis treści:

Spis treści

Od Autora.....	5
I. Rodzinny dom	6
II. „Piękne dzielnice” i getto	10
III. Na pograniczu	13
IV. „Moje uniwersytety”	17
V. Wejście w literaturę	19
VI. Na przejściu.....	24
VII. Na dnię	30
Irena Sandauer-Glanz: Czerwiec 1941	31
Berta Sandauer: Wyprawa do Lwowa po córkę.....	32
Irena Sandauer-Glanz: Powrót do Sambora. Pogrom w Lubieniu i w Samborze	33
Sambor. Judenrat. Pierwsze szykany	35
Napad rabunkowy.....	37
Akcja sierpniowa (1942).....	37
Schron	39
Akcja październikowa (1942)	39
Śmierć ojca w obozie janowskim	40
Pomoc ze strony Iwana i Marii Małankiewiczów	47
Kontakty z Małankiewiczami. Getto w Samborze.....	48
Mój brat organizuje ruch oporu wśród młodzieży.....	49
Akcja kwietniowa. Rzeź niemowląt.....	50
Skok na Judenrat.....	51

Akcja w maju 1943.Daremna próba ucieczki przez kanały	52
Likwidacja getta (czerwiec 1943)	53
Ucieczka do Małankiewiczów	54
Schron na strychu	55
Tryb życia w kryjówce	56
Małankiewicz dożywia ukrywających się w sąsiedztwie Żydów	58
Ukraińiec Jarema dotrzymuje tajemnicy	58
Wkroczenie Rosjan. Powrót Niemców. Śmierć kilkudziesięciu Żydów.	58
Po wyzwoleniu	60
Powojenne losy Małankiewiczów	60
VIII Z pamięci na pamięć	61
IX Jak nie zostałem krytykiem oficjalnym	67
X Paryż.....	74
XI Warszawa 1949—1955	86
XII Bojkot i bojkotanci	94
XIII Jak robiono mi gębę	101
Spis ilustracji	109

Nie bagatela — pisać to samo po raz wtóry. Swą młodość — jej fascynacje, obsesje, depresje — zawarłem w *Zapiskach z martwego miasta*, wydanych w 1962 roku. Ale te — kończą się za okupacji; swej biografii powojennej w nich nie zawarłem. Zapiski powstawały między 1948 a 1962 rokiem. Zaczęły się od *Pamiętników Mieczysława Rosenzweiga*, kreśliłem je pod koniec lat czterdziestych w Paryżu, by dopiero po siedemnastu latach, w 1962 roku, połączyć je w jedno z późniejszymi szkicami autobiograficznymi.

Pamiętniki pisałem w 1948 roku, gdy asymilacja wydawała mi się niemożliwa, ba, humorystyczna. Stąd autokompromitująca tonacja. Na dobitkę w tymże roku powstaje państwo żydowskie. Dla mnie — człowieka okupacji — miało to znaczenie zasadnicze. Uważałem za swój obowiązek zgłosić się — za wiedzą władz polskich oczywiście — do formujących się podówczas w Paryżu ochotniczych batalionów izraelskich. Zgłoszenia mego — na całe szczęście — nie przyjęto. Do Polski wróciłem w 1949 roku.

Dalsze szkice biograficzne zacząłem pisać aż po piętnastu latach, gdy — tak mi się przynajmniej zdawało — wrosłem w polskość ostatecznie. W rezultacie, kończąc *Zapiski*, podzieliłem je na groteskową ”parabiografię”, owe *Pamiętniki* właśnie, gdzie asymilacja zostaje wykpiona, oraz na — autobiograficzne w pełni — szkice późniejsze, gdzie biorę ją na serio. Stąd niejednorodność kompozycji, która ma źródło w niejednorodności życia: życie żydowskie, kultura polska.

Autobiograficzne są właściwie wszystkie moje opowiadania. *Śmierć liberała*, *Zapiski z martwego miasta* czy wreszcie to *Byłem...*, które przedkładał niniejszym czytelnikowi, ukazują stopniową przemianę Żyda w Polaka, człowieka — w pisarza. Jeszcze w *Śmierci liberała* polskości i pisarstwa — ni śladu: Mieczysław Rosenzweig z kolei chce wprawdzie być Polakiem i pisarzem, ale nie bardzo mu to wychodzi.

Dopiero bohater książki niniejszej, w której nie ma ani słowa zmyślenia, jest — miałem się tak określić w kilkadziesiąt lat później — „pisarzem polskim pochodzenia żydowskiego”. Rozdział niniejszy to dzieje jego „wspinaczki” z pogranicza polsko-żydowskiego do polskiej literatury — do chwili, gdy wedle słów Brunona Schulza — „zdobędzie ostrogi literackie”.

A więc w drogę — po ostrogi.

I. Rodzinny dom

Urodziłem się na wielokrotnym pograniczu: krajów, epok, kultur, dzielnic — w położonej o siedemdziesiąt kilometrów na południe od Lwowa austro-węgierskiej podówczas mieścinie, Samborze, która od drugiej wojny światowej weszła w skład ZSRR. Pograniczny był i rok mego przyjścia na świat — ostatni przed wybuchem pierwszej wojny, która miała doprowadzić cesarsko-królewską monarchię do rozpadu.

Za czasów mojej młodości Sambor należał do Polski; dominowała w nim kultura polska. Inteligencja żydowska mówiła — bardzo co prawda poprawną, za to mniej niż w Polsce centralnej rdzenną polszczyzną: brak było polskiego zaplecza. Za przykład może posłużyć język Brunona Schulza, który do polszczyzny ogólnej ma się tak jak język Kafki do ogólnej niemieczyny. Jeśli Kafka niemieczyną praską, to Schulz pisze polszczyzną galicyjską. Tak właśnie mówiliśmy i my.

Rodzice moi chowali się chyba jeszcze po żydowsku, w jidysz. Nie był to jednak dla nich język kultury. Po żydowsku się ot!, gaďało; mówiono, no i czytano po polsku bądź też po niemiecku. Że polski wziął w końcu górę, przypisać należy chyba powstaniu w 1905 roku miejscowej organizacji PPS, gdzie ojciec z matką się poznali i na tle której miałem przyjść w osiem lat później na świat.

Ideologię domową stanowił — zwłaszcza u ojca socjalizm. Socjalizowała i matka — z tym jednak, że — jak to kobiety — przywiązywała większą niż do polityki wagę do spraw rodzinnych. Tuż przez ulicę gnieździli się w dwuizbowym (pokój i kuchnia) mieszkaniu jej rodzice wraz z siedmiu synami, a moimi wujami. W święta gotowano i jadano wspólnie. Domy połączone były — na zasadzie „ejruwu” * — drutami, by nie ruszając rytuału wolno było przenosić swobodnie jedzenie przez ulicę.

Ojciec, typowy „socjał” z sumiastym blond wąsem a la Daszyński, czuł się przy całym swym socjalizmie w domu teściów nieźle, w każdym razie lepiej niż u własnych rodziców, którym miał niejedno do zarzucenia. Nie dali mu wykształcenia, ideologii, zawodu: wszystko to musiał zdobyć na własną rękę — w PPS. Kształcił się na jej broszurkach, działalność partyjna zastępowała mu zawód. Ale szkoły podstawowej — nawet na lokalnego działacza — było za mało.

Przy stole szły rozmowy o przyszłym ustroju socjalistycznym, o rozkładzie rodziny mieszczańskiej, którego nasza nie była bynajmniej przykładem. Dom był ciepły i — jak na ludzi bez średniego wykształcenia — wielce kulturalny. W trzcinowej szafce stali niemieccy i polscy klasycy. Ojciec rozczytywał się jednak raczej w „Robotniku”, „Naprzodzie”, później także w żydowskiej „Folkscajtung”, organie Bundu.

* Ejruwu (hebr.) — „pobożne machinacje”, zabiegi pozwalające wyznawcy pozostać w zgodzie z literą Pisma [przyp. red.].

Później — mówię — gdyż ta partia żydowskich socjalistów dopiero po 1918 roku przeniknęła z Rosji do Polski. Była już wymierająca; młodzież garnęła się do komunizmu lub do socjalizmu. Niemniej ojciec przeszedł z PPS do Bundu, przy okazji stając się „jidyszystą”, tj. zwolennikiem kulturalnej autonomii Żydów. Mnie przejście to już nie dotyczyło: zostałem nastawiony na polskość wcześniej.

Pozbawiony określonego zawodu, ojciec nie bardzo umiał zapewnić byt rodzinie. Często bywał też bezrobotny; tu i ówdzie piastował funkcje partyjne. Najdłuższy, bo aż dwunastoletni okres bezrobocia, zaczął się dlań około 1920 roku, skończył zaś w 1932 założeniem sklepu z rowerami, sklepu, który mieli we wrześniu 1939 roku rozgrabić szukający środków lokomocji, a uchodzący przed Niemcami polscy żołnierze.

Gdy nie był bezrobotny, ojciec — jak się rzekło — pracował w znajdujących się pod wpływami PPS instytucjach społecznych: był kierownikiem Kasy Chorych (Ubezpieczalni), po 1920 roku zaś, gdy partia rzuciła hasło tworzenia robotniczych spółdzielni spożywczych — kierownikiem „konsumu”, który niebawem zresztą zbankrutował. Wówczas odpowiedzialność za dom przejęła matka, zakładając spółdzielnię modniarską. Pamiętam, jak przyklekała przed jakąś jejmością: „Jak szanownej pani do twarzy w tym kapelusiku!”

Z domu wychodziła teraz o świcie, wracała zaś późną nocą, podczas gdy ojciec, zajęty „zbawianiem świata”, bujał po staremu w obłokach. Bez jej energii nie był' bym, śmiem rzec, ukończył gimnazjum ani zaczął studiów uniwersyteckich we Lwowie. Niebawem zresztą mogłem utrzymać się sam, publikując artykuły i wiersze we lwowskiej prasie.

Wróćmyż do dzieciństwa. Ojciec, jak się już powiedziało, za swoimi rodzicami nie przepadał i na reprimendy dziadka, starca o wiecznie trzęsących się dłoniach, dotyczące mojego wychowania w duchu niewiary, odpowiadał ironicznym uśmiechem.. Niedostatkom mego wychowania usiłowała po swojemu zaradzić i babka, matka ojca, opowiadając mi smalone duby o chrześcijaństwie, zaczerpnięte ze straganowej literatury żydowskiej. Reagowałem na nie — jak ojciec.

Doskonale natomiast układały się stosunki z dziadkami matczynymi. Miarą ich tolerancji niech będzie to, że choć ze sobą mówili po żydowsku, do mnie zwracali się po polsku! Stąd też językiem żydowskim nie władam, choć doskonale go rozumiem — przynajmniej w jego potocznej, mówionej warstwie.

Bardzo też lubiłem ich odwiedzać. Stąd wyniosłem wszystko, co wiem o żydowskim rytuale. Wryła mi się szczególnie w pamięć Pascha. Do wieczerzy zasiadał dziadek, wpółoparty, starożytnym zwyczajem, o poduszki, na stole pysznił się kielich wina, przeznaczony dla proroka Eliasza. Widziałem doskonale, jak wlatuje przez otwarte na noc wiosenną okno i jak w kielichu ubywa czerwonego płynu.

Jako najmłodszy zadawałem dziadkowi hebrajskie pytania (tzw. „kaszes”), dotyczące początków tego świata. W odpowiedzi otwierał Pismo i odczytywał opowieść o wyjściu z Egiptu. Do rytuału komicznego należało wykradanie dziadkowi ukrytej pod jego poduszką macy. Zdawał się tego nie

dostrzegać, po czym okupywał się jakimś wręczonym mi pośród ogólnego śmiechu podarunkiem.

Trwało to niestety niedługo. Babkę straciłem w wieku lat pięciu, dziadka — dziesięciu. Dom, niegdyś tak ciepły, opustoszał. Jeszcze za życia rodziców (a moich dziadków) dwaj najmłodszy synowie (a moi wujkowie) emigrowali do Palestyny. Po ich śmierci pozostał najmłodszy, który też szykował się do wyjazdu. Mieszkanie rodziców przetworzył na lokal organizacji pionierskiej, która niebawem miała jako kibuc (osiedle robotnicze) też przenieść się do Palestyny.

Tyle o trzech najmłodszych. Czterej starsi opuścili dom rodzicielski jeszcze za życia dziadków. Jeden osiadł we Wiedniu jako prokurent bankowy. Pisywał rzadko: znak życia przysłał jesienią 1942 roku. Była to wyrzucona widocznie z pociągu niemiecka kartka: „Jadę w nieznanym kierunku.” Następny po nim zginął jeszcze w 1916 roku na froncie włoskim jako żołnierz austriacki. Dwaj dalsi zginęli za okupacji.

Każdy z tych czterech starszych był socjalistą. W pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku było się nim, jeśli o Żydów chodzi, obowiązkowo; dopiero w drugim moda ta uległa zmianie. Oto objawszy po Turkach władzę nad Palestyną, Wielka Brytania zobowiązała się do „zbudowania Żydom domu narodowego”. Teraz młodzi, jeśli nie szli do komunizmu, szli do syjonizmu. W każdym razie różnica między losami czterech wujów pozostałych w Europie a tych, którzy emigrowali, jest znamienna. Ocalał — kto wyjechał.

Przekonania trzech młodszych nie pozostały bez wpływu i na moje wychowanie. Ponieważ nie otrzymałem tradycyjnej kultury religijnej, nie byłbym, gdyby nie oni, poznał języka hebrajskiego. Wujowie nastroczyli mianowicie rodzicom młodego „chaluca” *, który wyuczył mnie hebrajszczyzny — nie tradycyjnej, modlitewnej, lecz nowoczesnej, wymawianej ze śródziemnomorska, tej, jaką się mówi dziś w Izraelu; nie aszkenazyjskiej, lecz sefardyjskiej.

Młodszy wujowie zarzucili też dotychczasowy tryb życia. Tradycyjnemu Żydowi praca fizyczna zdawała się przynosić ujmę: czas dzielił między studiowanie Pisma a zarobkowanie. Aby jednak odbudować zapuszczony kraj, emigrujący musieli się zaprawić w pracy fizycznej. Toteż, ku wielkiemu zgorszeniu rodziny, trzej młodszy wujowie rzucili jeden za drugim studia i najmowali się do pracy u kowali, cieślów, kamieniarzy.

Jeśli chceć mówić o dzieciństwie, nie jest rzeczą obojętną, gdzie przyszło się na świat. „Tym, co najbliższe — mówi Heidegger — jest pokój, przyrząd do mieszkania.” Nie ulega wątpliwości, że kształt jego — rozmiary, umeblowanie — formują osobowość dziecka. W jeszcze większym stopniu czyni to okolica, na którą się z pokoju wychodzi.

* Chaluc (hebr.) — syjonistyczny pionier, osadnik na nie zamieszkałych ziemiach izraelskich; pojęcie zaczerpnięte przez syjonistów / *Księgi Samuela* [przyp. red.].

Moją „okolicą” był zasłany słomą i łajnem olbrzymi plac — Targowica, na który dwa razy w tygodniu zjeżdżali okoliczni chłopci na jarmark. Pod kątem prostym do niej zbudował dziadek, ów fantastyczny starzec o wiecznie trzęsących się dłoniach, szereg ruder; w jednej z nich zamieszkaliśmy i my. Zwało się to Stawiskiem, jako że cała Targowica powstała ze stawu, z osuszonych rozlewisk Młynówki. Owa Młynówka był to sztuczny, przekopany od Dniestru kanał, który biegł przez miasto, by obracać młyny.

Plac Targowicy obrzeżony był z jednej strony Młynówką, z drugiej — Rynkiem. Za Młynówką zaczynała się właściwa dzielnica żydowska, która zwała się Blichem, ponieważ tkacze blichowali tam niegdyś płótna. Było to coś w rodzaju plemiennego matecznika: oprócz „okopiska” — tak określano u nas kirkut — była tam i synagoga, dokąd raz do roku, w Sądny Dzień, schodzili w cylindrach i garniturach panowie z Rynku.

Z drugiej strony Targowicy, na wzgórzu wznosił się Rynek. Po wspięciu się po schodkach wchodziło się na ocieniony drzewami placyk z Matką Boską Przeczystą, później mijało cerkiew i kościółek. Dalej był już sam Rynek. W środku — Ratusz z jeleniem u szczytu, herbem nadanym miastu po fortunnym polowaniu przez królową Bonę. Dalej — „piękne dzielnice” oraz owo gimnazjum klasyczne, skąd czerpałem polsko-europejską kulturę, która miała mnie — przynajmniej symbolicznie — przeprowadzić na Rynek.

Albowiem marzeniem naszym — zwłaszcza matki — było przeprowadzić się na Rynek. Na przeszkodzie stały względy finansowe. Niemniej o uformowaniu mojej osobowości zdecydował ów mit „przeprowadzki”. Twarzą byłem ustawiony do Rynku, tyłem — do Blichu: „Zachowujesz się jak blichowiec” — to najgorsze, co można było z ust matki usłyszeć.

Słowem, w mojej podświadomości obie te dzielnice funkcjonowały jako symbole: Rynek reprezentował Zachód, Europę, kulturę, ku którym drogą była polskość. Blich — to były zasmarkane „bachory”, mówiące czy raczej „szwargoczące” po żydowsku; to był dziadek z trzęsącymi się dłońmi, który dostawał ataków furii na widok mego wychowania. „A mógłby być z niego rabin okręgowy!” — wołał.

Marzenie o przeprowadzce w końcu się jednak zrealizowało — tyle, że w kierunku wręcz odwrotnym. 1 grudnia 1942 Gestapo przeprowadziło moją rodzinę, jak i wszystkich Żydów, na Blich. Tam powstało getto, otoczone drutami, ale tylko z dwu stron. Z obu pozostałych — miało granice naturalne: z jednej — Młynówka, z drugiej — „okopisko”: przez furtkę w cmentarnym murze można było się wydostać na pola naddniestrzańskie.

Przeprowadzka ta była w naszej drodze przez mękę stacją ostatnią. Że jednak „poniżeni zostaną wywyższeni”, więc po wojnie nastąpiło i wywyższenie. Istnieje, jak wiadomo, związek przyczynowy między rzezią Żydów a późniejszym stworzeniem im przez ONZ „domu narodowego”; istnieje też między okupacyjną przeprowadzką mojej rodziny na Blich a powojenną jej emigracją. Był to rodzaj

zmarłychwstania po wycierpianych katuszach.

Z tego zmarłychwstania ja — zostałem wyłączony: w emigracji nie wziąłem udziału. Droga przez polskość na Zachód okazała się w rzeczywistości drogą na Wschód, którego częścią miał się stać po wojnie mój kraj — Polska. Oto paradoks mego i losu.

II. „Piękne dzielnice” i getto

Fakt, że na Rynek i do „pięknych dzielnic” szło się po schodkach, zyskiwał dla mnie, jak się rzekło, sens symboliczny. Wszedłszy, znajdowałem się od razu w nowym świecie. Na samym początku plac cerkiewny z figurką „Preczystoj” w środku. Od razu zieleniałem od cienia otaczających ją klonów; w naszej dzielnicy zieleni nie było.

Dalej — dochodząca już do samego Rynku — ulica Przemyska. Tu — dzwięcziąłem od bicia cerkiewnych i kościelnych dzwonów, od grania krążącego po wieży ratuszowej strażaka, który starym zwyczajem wypatrywał, czy gdzie nie zaproszono ognia. Wieczorem nad ulicą Przemyską chwiały się lampy łukowe, cienie tańczyły po murach kamienic. Do tej ulicy odnosi się mój ówczesny wiersz:

Jesienna moc, ukośna moc,
Buki na bok pochylone.
Rozkołysaną, ciepłą noc
Wiatr porwał w jedną stronę.

W środku Rynku — Ratusz z przesytych strzałą jeleniem, herbem miasta. Dwa boki Rynku zwały się Corsem, linią A—B i C—D. Odbyszał się tu nieustanne pokaz mód: panie demonstrowały nowe kapelusiki, dzieło rąk mojej matki. W kącie linii A—B cukiernia Horbacia, czyli — jak mawiali miejscowi dowcipnisie — Herbacia. Tych ostatnich nie stać było co prawda na wejście, ale stać było na nabijanie się z wchodzących.

Wiezorami defilowały po linii A—B pary — przeważnie jednopłciowe. Pokazywanie się w towarzystwie osoby płci odmiennej byłoby „angażowaniem się”, czego starannie unikano: na małżeństwo nikogo nie było stać. Dla erotycznego wyżycia przeznaczona była jedyna w mieście prostytutka, Anda Dragon, no i praktyki intymne.

Wiezorami Rynek ożywał, w letnie popołudnia — upały były u nas nieomal mołdawskie — pustoszał całkowicie. Hołdowano też obyczajowi poobiedniej sjesty, podczas której wszystko wymierało. Stąd inny z kolei wiersz młodzieńczy:

W każdym oknie zakrywa spuszczone roleta
Niezgłębione misterium drzemki poobiedniej.
Śpi miasto. Lecz na plantach miejscowy poeta

Śledzi cień na rolegie ruchomy i — błednie.

Po drugiej stronie Corsa dyszały niewyraźne Planty Nic zdrożnego się tam nie działo, ale już sama ciemność była zdrożna, była aluzją do tego, co dziać się mogło choć nie działo, w niedalekim ubożuchnym parku miejskim, którego posażki kojarzyły mi się — nie wiadome czemu — z Renesansem. Stąd *Madrygał renesansowy*.

O pani! Oto jesień w parku. Tutaj ongi
Białe cienie się kryły w majaczące drzewa.
Dzisiaj na wietrze chłodnym dygocą posagi.
I jak mc serce płacze po liściach ulewa.

Wiersze może i nieszczególne — oprócz jednego *O miłości bezosobowej*, który się spodobał s a m e m u Tuwimowi. „Udała się Panu ta dziewczyna w łozach” — pisał mi w liście, który nosiłem stale przy sobie. Jak wielkim mirem cieszyli się na tej zapadłej prowincji skamandryci, niech świadczy chociażby takie oto powiedzenie Schulza: „Nim debiutowałem, taki Tuwim czy Słonimski to byli dla mnie jacyś bogowie.”

Wiersz, najlepszy z moich ówczesnych (przytaczam go w całości w *Zapiskach*), miał adres wyraźnie naddniestrzański. Naddniestrze była to okolica za Blichem — rzeczna i zmysłowa. Jeżeli Rynek układał mi się w całość śródziemnomorsko-klasyczną, to Naddniestrze kojarzyło się z jakąś Leśmianowską słowiańszczyzną, z pokusą zmysłową i grzechem.

Ze wszystkich dziewcząt, które stukocąc raźnie piórnikami defilowały przez Rynek (koedukacji wówczas nie było, wychodziliśmy specjalnie na Planty, by asystować przy ich wyjściu z żeńskiego gimnazjum), zakochałem się właśnie w tej, która mieszkała nad Dniestrem, w miejscu, dokąd winien już był docierać szum fal świst łóz.

Wiadomość o jej miejscu zamieszkania podziała na mnie piorunująco i ona to w gruncie rzeczy stała się motywem krystalizacyjnym miłości. Było to tak, jakby między dwoma mitami terenowymi, między Rynkiem, gdzie ją po raz pierwszy ujrzałem, a Naddniestrzem, gdzie mieszkała, przebiegła iskra. Nie ją kochałem; kochałem te dzielnice, które dzięki niej wypełniały się nareszcie treścią. Była wcieleniem mitów terenowych, pod których urokiem się znajdowałem.

Nikt nie sformułował dotąd pojęć „psychologii lokalnej” i bodaj czy nadają się one do sformułowania: są zbyt ulotne. „W polu mi polno, a w lesie mi leśno” — powiedział Leśmian. Ale jak w języku naukowym powiedzieć, że jesteśmy kameleonami, które nasiakają barwami miejsc i godzin, że jak meduza od wody jesteśmy nie oddzieleni od pory dnia, od okolicy. Bez uwzględnienia owej psychologii lokalnej niepodobna jednak mówić o sztuce. To nasze zrastanie się z „okolicą”, z sytuacją określił najtrafniej Miron Białoszewski:

naprzeciw nocnych
szpar ciemno-ja

mieszkanio-ja
leżenio-ja
(*leżenia*)

A dalej, jak w języku abstrakcji wyrazić pojęcia tak ulotne, jak „samborskość”, „drohobyckość”, „galicyjskość”? Miasteczko galicyjskie jest już w swej topografii, nie mówiąc o atmosferze — inne niż kongresowe: bardziej koncentryczne, z Rynkiem i Ratuszem pośrodku. Taki był mój Sambor, taki Drohobycz Schulza. Jeśli wolno zestawiać: „drohobyckość” jego twórczości — jak „samborskość” moich młodzieńczych wierszy — jest oczywista.

I jedno, i drugie mają określony adres. Ileż u Schulza rozmaitych Żup Solnych, ulic Leszniańskich, Podwali, placów Świętej Trójcy! Każde z jego opowiadań dzieje się jeśli nie w domu rodzinnym, to w określonym miejscu Drohobycza. Lokalizacja ta pozwala, nawiasem powiedziawszy, rozszyfrować zagadkowe skądinąd utwory.

Weźmy chociażby tytułowe *Sklepy cynamonowe*! Można je zrozumieć tylko na tle topografii Drohobycza. Wyszedszy z ogarniętego drętwołą zimową domu, mały bohater zachodzi w piękne dzielnice swego miasta. Jak w Samborze, tak i w Drohobyczu istniał kontrast między ulicami żydowskiej biedoty (jak moja Targowica czy Floriańska, gdzie pod numerem 10 mieszkał Schulz) a „pięknymi dzielnicami”, z których najpiękniejszą był Rynek.

Kontrast ten miał charakter klasowo-narodowy. Ulica Floriańska była — jak Targowica czy Blich — siedzibą biedoty żydowskiej; tu też mieli Niemcy zainstalować getto. Nad opowiadaniem Schulza, jak i nad moimi skromnymi wierszami, unosi się cień tej przyszłości. Moja powojenna *Śmierć liberała* nie byłaby możliwa, gdyby nie poprzedziły jej owe wiersze. Rysują one jak gdyby pustą scenę, na której kiedyś rozegra się akcja — nie tyle teatralna, co likwidacyjna.

I Sambor, i Drohobycz miały układ podobny do tylu innych „sztetł” (miasteczek). Elita — żydowscy bogacze i polscy urzędnicy — zajmowała centrum, Rynek z przyległościami; żydowska biedota, do której należeliśmy, gnieździła się po rozmaitych Blichach, Targowicach, Floriańskich. Przeciwwstawienie „pięknych dzielnic” i owych siedlisk nędzy, przyszłych gett, było dla nas obu zasadnicze.

Majaczy tu jeszcze inne przeciwstawienie: „wnętrza” i „zewnątrza”, domu i „świata”. W świecie Żyd był śmieszną osobką, „hocmachem”, zabieganym skoczkiem, gotowym dla zarobku do wszystkiego. Ale w domu... Zobaczcież go — jego, który przed chwilą „hockał” przed byle kim, jak idzie w dostojnej bekieszy do synagogi! Zobaczcie, jak świętuje nadejście soboty! Świat jest groźny, ale dom przytulny. „Jak przytulnie w tym domu” — mawiał mi nieraz Schulz. Ileż to razy składał się jak do strzału — miał taki tik — aby się bronić przed urojonymi rozbójnikami.

Ale — i tu paralela między nami się kończy — Schulz nie byłby Schulzem, gdyby przeciwstawienie to nie doznało u niego perwersyjnego odwrócenia i gdyby owo „groźne zewnątrz” nie przyciągało go, nie fascynowało. Czyż nie dlatego właśnie wyszedł na ulicę w ów listopadowy dzień 1942 roku? Czyż nie dlatego subiekt Teodor wychodzi na dwór podczas szalejącej wichury? Zasiada pod koniec opowiadania na schodkach prowadzących na strych, „nasłuchując proroctw strychowych, strojąc śmieszne grymasy, podnosząc wysoko brwi i śmiejąc się do siebie”. Dlaczegoż się śmieje? A dlatego, że strych to przybytek wichury, już zdradzi! domowy przytułek dla tamtej sfery, już zrósł się w jedno z żywiołem, już jest — tamtostronny, już stał się „wichuro-ia”.

III. Na pograniczu

Ale teraz wróćmy do mojego „samboro-ja”! Ponieważ, jak się rzekło, na płacenie komornego rodziców nie było stać, więc zajęli mieszkanie w rzędzie ruder, które ojciec ojca wznosił przed moim przyjściem na świat przy Targowicy. Budulec był podgniły, ze ścian łupał się tynk płatami, na podwórkach gnojne jamy o klekocących drzwiach służyły za ustępy. Staralem się tego nie dostrzegać; czy nie stąd po dziś dzień moje — jakby z lekka nieobecne — spojrzenie?

Rudery te zajmowała żydowska biedota. Rankami dolatywało zza ścian pośpieszne mamrotanie: to sąsiad w tańsie odmawiał na chybcika poranną modlitwę. Przed oknami umorusane „bachory” z sopłami u nosów grały w pustaki. By nie psuć mi akcentu, matka starannie mnie izolowała i pamiętam, jak się zamartwiała, kiedy wymawiałem miękkie „r”, czyli grasejowałem. Widziała w tym wpływ środowiska.

Kiedym chciał się raz do tych zabaw przyłączyć, była przerażona. „Kupię ci orzechów, ile tylko zechcesz” — persadowała mi. Nie wiedziała, biedna, że nie o pustaki mi chodziło. Brak dziecięcego towarzystwa miał zaciążyć na moim charakterze: pozostałem nieoswojony, dziki.

Stąd też moja niesprawność, brak zdolności manualno-towarzyskich, które dziecko nabywa wśród rówieśników. Nigdy ich nie miałem zyskać, nastawiony wyłącznie na pracę umysłową. Z wyjątkiem okupacji, kiedy to ładowałem na furmanki meble z opustoszałych mieszkań pożydowskich, pozostałem człowiekiem książki. Wynikło to z odosobnienia, w jakim rościłem. A wyczyn był swoją drogą niebagatelny: wychować dziecko w całkowitej izolacji od rówieśników. Prawda, że miejscowa inteligencja żydowska była wtedy nastawiona na polszczenie się, opanowana politycznie przez PPS, kulturalnie przez modernizm. W albumach panińskich matki znajdowałem listy koncypientów adwokackich, pełne „afektów strzelistych” itp. stylistycznych efektów. Żona miejscowego aptekarza chełpiła się swym pochodzeniem z Krakowa, gdzie poznała ponoć samego Przybyszewskiego.

Wśród inteligencji tej byliśmy z racji swego miejsca zamieszkania czymś jednak odrębnym, polską wysepką w żydowskim morzu. Jeszcze głośniejsze niż zza ściany rozlegały się modlitewne zawrodożenia zza Młynówki, z Blichu, gdzie Niemcy mieli, jak się rzekło, zainstalować getto. Na razie był tam i kahał, i synagoga, i trupiarnia, i kirkut, wreszcie — dwory cadyków.

Po przeciwnej stronie Targowicy Rynek wznosił na wzgórzu swe dachy z różowego łupku — kościoły, urzędy, gimnazja, będące dla mnie symbolem Zachodu, który kojarzył mi się wówczas z polskością. Topografię tę kreśliłem już poprzednio, ale — nigdy dosyć, gdyż właśnie te antytezy terenowe formowały mój dziecięcy światopogląd. Kiedy po przejściu nie brukowanej Targowicy dobijałem — z przyschłym do nogawek błotem — do swej łacińsko-greckiej przystani, czułem się tam przybyszem z dołu, człowiekiem — jak by dziś powiedziano — z awansu.

Dziecięca ta topografia byłaby niepełna, gdyby nie wspomnieć o polach naddniestrzańskich za Blichem. I o tym już pisałem, ale i to — warto powtórzyć. Była to odwrotność Rynku, mój prywatny Wschód, teren letnich wycieczek, zarosły trawą, zbożami lub — tuż przy rzece — szuwarem. Na samym brzegu — budki pastusze, gdzie kryłem się przed deszczem i gdzie po latach, za okupacji, miałem się kryć przed niemieckimi „akcjami”.

Przedłużeniem tych wycieczek były letnie wyjazdy z matką do Turzego, karpackiej wsi. Jeździliśmy do arendarzy, którzy odwdzięczali się nam w ten sposób za udzielaną ich córce w czasie roku szkolnego stancję. Z kuchni był dostęp do szynku: chłopstwa — huk, zaduch, że choć siekierę wieszaj, na lampach naftowych grona much, zrywających się raz po raz bzygającym rojowiskiem.

Miedzy nogami chłopów smyrgały dzieciaki, z którymi mogłem się wreszcie nabawić do syta. Bawiliśmy się — kto da dziś temu wiarę? — w rewolucję. Były lata -naste, z Rosji przychodziły alarmujące wieści o jakichś bolszewikach, którzy zdobyli szturmem jakiś rządowy pałac. Ale Bóg raczy wiedzieć — mówiono — co z tego może jeszcze wynikać.

Miało swój pałac i Turze. W głębi pełnego szklanych kul parku białała willa, zwana Kormaszówką. W Samborze — klarowałem rówieśnikom — rewolucja już się dokonała: tutaj pozostawała do zdobycia Kormaszówka. Zdobywanie było bezkrwawe, ograniczało się do intonowania pod sztachetami parku *Czerwonego sztandaru* lub *Na barykady*, które wiejskie chłopaki śpiewały pod moją batutę, odpowiednio je ukrainizując.

Z zabaw tych wyniosłem otrząskanie z ukraińskim, co miało mi się w przyszłości wielce przydać. Kiedy po wkroczeniu Sowietów przystąpiłem do pracy w polskiej dziesięciolatce jako nauczyciel, zlecono mi w braku łaciny nauczanie rosyjskiego. Otóż od ukraińskiego do rosyjskiego — tylko krok jeden. A i za okupacji chłopci nie byliby mnie przyjęli tak chętnie, gdyby nie mieli mnie za swojego.

Na razie oscylowałem — człowiek Targowicy — między Rynkiem a Blichem i Naddniestrzem, między moim Zachodem a moim Wschodem. Z Rynku szły łacina i greka, francuski i angielski, z Blichu — żydowski, z Naddniestrza —

ukraiński, z domu wreszcie — polski, ale i niemiecki, i żydowski, i hebrajski — wszystkiego po trochu. Moja wielojęzyczność ma tutaj swe korzenie.

Hebrajskie słowo „mat'mid” oznacza tego, kto ślęczy nad książkami. Jest to tytuł poematu Bialika o spędzonych w jeszywie * młodzieńczych latach. W Polsce, gdzie ideałem jest przemykać się psim śwędem z klasy do klasy, tego, kto ślęczy nad książkami, nazywa się pogardliwie kujonem. „Mat'mid” wyraża, wręcz przeciwnie, najwyższy podziw. Cóż, różnica psychik narodowych...

Co do mnie — kontynuowałem tradycję „mat'mida” — tyle że przeflancowanego z jeszywy do klasycznego gimnazjum, „mat'mida”, któremu — zamiast *Miszny* i *Gemary* — wetknięto do rąk Homera, Wergilego i innych. Ci poznani we wczesnej młodości autorzy urobili mnie na swoją antyczną modłę. Jedyne też w gimnazjum, wypożyczałem do domu ich stojące rzędem w sali konferencyjnej, oprawne w skórę tomy.

Urodzony w biedzie, syn pogardzanego narodu, syn niezaradnego ideowca-samouka, byłbym — gdyby nie ciągły wysiłek, gdyby nie stawiane sobie samemu maksymalne wymagania — ugrzązł w Samborze, w tym strasznym Samborze — z wieczornym Corso jako życiem towarzyskim, z Anią Dragon przyjmującą gości w miejskim szalecie — jako życiem erotycznym. Przeciw sobie miałem wszystko...

Wszystko — i pochodzenie, i wygląd, i wrażliwość. Byłem bez łokci, byłem i bez skóry — tak urażliwy, że w obawie przed odpaleniem nie śmiałem przez całe lata zbliżyć się do dziewczyny. Ci, którzy znają mnie z katedry czy z telewizyjnego ekranu, powinni uprzytomnić sobie, że mają przed oczyma wieloletniego prowincjusza, samotnika i odludka...

Goszcząc niedawno w stronach rodzinnych, zetknąłem się z byłym kolegą szkolnym, filologiem, jak ja, kryjącym, jak ja, oczy za szklami — tyle że znacznie wypuklejszych — okularów. Czym ja — przez półtora roku, tym pozostał on przez całe życie: nauczycielem w dziesięciolatce; gdyby nie moja pookupacyjna decyzja, by po wyjściu z ukrycia wyjechać z Sambora, byłbym może i tam ugrzązł. Tyle że mnie pchał do wyjazdu bodziec: dokonany na strychu przekład Majakowskiego. Ale o tym — poniżej.

Wracając do lat szkolnych... Owo obkuwanie się w gramatykach i literaturach miało na celu nie tyle wspięcie się po drabinie społecznej, co zastąpienie jednej tradycji przez drugą. Biblię poznałem, gdy byłem już ukształtowany przez antyk. Na odziedziczony po przodkach fanatyczny temperament nałożyła się w ten sposób klarowność kultury klasycznej.

* Jeszywa (hebr. „jeszibot chochme” — siedziba mądrości) — żydowska ortodoksyjna uczelnia dla młodzieży męskiej, w której studiowano *Talmud* [przyp. red.].

Klasycyzujące były i pierwsze próby literackie. Jeszcze na szkolnej ławie przekładałem olśniewające rygiem rymów, blaskiem obrazów sonety francuskiego parnasy Jose-Mariego de Heredia. Oto gimnazjalne tłumaczenie jego wiersza o Teokrycie, poecie starogreckim, rodem z Sycylii. Są w nim i dzieje, i geografia tej wyspy w skrócie. Aretuza to rzeczulka pod Syrakuzami, tu — symbol Sycylianki:

Medalion starożytny

Na Etnie wciąż się wino ciemnozłote warzy.
Którym ongi upiło dziewczę Teokryta.
Lecz o tej, której piękność została wyrta
W jego wierszach, poeta dziś daremnie marzy.

Tracąc nieskazitelny zarys swojej twarzy,
Aretuza, miłością lub mocą zdobyta.
Łączy w żyłach, gdzie grecka wre krew szczerolita,
Żar Saracenów z dumą normandzkich żeglarzy.

Czas mija. Wszystko ginie. I marmur się zetrze.
Z Syrakuz cień pozostał, a nad Agrygentem
Lśni błękitnym całunem łagodne powietrze.

I jedynie artysta w kruszcu nieugiętym
Utrwalił na srebrzystej medalionu lilii
Nieśmiertelną urodę dziewcząt ze Sycylii.

Niebawem filologia zaczęła owocować. Na rok 1930 — byłem w przedostatniej klasie gimnazjum — przypadało obchodzone przez nas z wielką pompą dwutysiąclecie śmierci Wergilego. Do kogoż miał się zwrócić klasowy wychowawca o przemówienie wstępne? Na uroczystość przybył zaproszony ze Lwowa ówczesny animator ruchu filologicznego, prof. Ryszard Ganszyniec. Przemówienie moje zamieścił w „Filomacie” (1931, nr 27). Drogę na studia miałem uutorowaną.

IV. „Moje uniwersytety”

Doświadczenia uniwersyteckie miały się okazać inne niż gimnazjalne. Inne były też lata. W Niemczech do władzy dochodził Hitler, a i w Polsce antysemityzm gwałtownie wzrastał. Wpływy rasizmu dawały się odczuć — nawet wśród Żydów. Pamiętam, jak asystent zajmującego się „rasoznawstwem” prof. Czekanowskiego, sam zresztą Żyd, nazwiskiem Czortkower, określił mnie jako „typ armenoidalny z nordyckim Einschlagiem” (domieszka).

Uniwersytet, jaki poznałem, przypominał dżunglę. Chodziło się po nim ze wrokiem wytężonym, z napiętym słuchem; napad mógł nastąpić w każdej chwili z każdego zakamarka: byle pierwszorocznik miał za punkt honoru zaprawiać sobie rękę na Żydach. Samoobrona była niemożliwa: nie myśmy wyznaczali pory i miejsca spotkań. Najczęściej ustawiali się w dwuszeręgu u wyjścia sal wykładowych i przepuszczali delikwentów przez grad pałek, czyli przez tzw. ścieżkę zdrowia.

Po pierwszych doświadczeniach nauczyłem się unikać uniwersytetu w dni niebezpieczne — a było ich w roku kilkanaście — lub też przemykać się chyłkiem. Zważywszy, że „swobodę nauki” gwarantowała konstytucja, na teren uniwersytetu policja nie miała dostępu. W 1936 chyba roku, gdy jakiś żydowski opryszek zabił studenta Polaka, odpowiedzialność zrzucano na wszystkich Żydów lwowskich. Mój współlokator przyszedł, pamiętam, do domu pokiereszowany pałkami, w które wprawiono żyletki.

Władze uniwersyteckie ignorowały lub wręcz faworyzowały zajścia. Plam krwi na podłogach profesorowie zdawali się nie zauważać. Raz w seminarium archeologii klasycznej doszły mnie znajome hałasy. Dryblas — w dekle korporanckim, z zieloną wstążeczką w klapie — wszedł na salę i obrzuciwszy ją orlim spojrzeniem, zatrzymał je znacząco na mnie. „Nie możemy tu pana przechowywać” — oświadczył mi, wezwawszy do gabinetu, prof. Bulanda, były rektor.

Drogę do polskości zastałem zatem zatarasowaną. Nie tylko przez pałki; także przez bojkot. Nie zdarzyło mi się w ciągu studiów nawiązać stosunków z kolegą Polakiem — chociażby do tego stopnia, by wyjść wspólnie na ulicę. Raz tylko odważył się na to jakiś chłopski syn, który — w swych butach z cholewami, w niezgrabnie osadzonym kapeluchu — czuł się wśród tych paniczków równie nieswojo jak ja.

W tym miejscu popełnię plagiat na sobie. Przytoczę mianowicie ze wspomnianych *Zapisków* dłuższy ustęp, którego przerabiać nie widzę powodu. Bez niego autobiografia ta byłaby niepełna. Opisuję w nim jeden z rzadkich w swoim życiu wypadków, gdy zająłem zdecydowane stanowisko polityczne, z mola książkowego, jakim zazwyczaj byłem, stając się człowiekiem czynu. Zdarzyło się to jeszcze raz za okupacji i — po raz trzeci — za socrealizmu.

„Przeciw faszyzacji kraju, którą powyżej opisywałem, rozpoczęła się kontrofensywa wiosną 1936 roku. Widowym jej symptomem był zorganizowany z inicjatywy partii komunistycznej lwowski Kongres Kultury. Głuche lata, zdawało się, dobiegają końca; historycy mówią w takich razach o narastaniu fali rewolucyjnej. Mnie — zagarnęła ona w pewien wiosenny poranek — kiedy — idąc na uniwersytet, by posiedzieć nad łacińską pracą magisterską — zauważyłem idącą przez park Jezuicki grupkę robotników ze zwiniętym czerwonym sztandarem.

Była to, okazało się, delegacja budowlanych, którzy szli na pogrzeb Kozaka. Dwa dni wcześniej bezrobotni demonstrowali przed starostwem, jeden z nich, nazwiskiem Kozak, został w czasie demonstracji zabity. Z jego pogrzebu postanowiono uczynić manifestację. Bez wahania przyłączyłem się do grupy. Zawsze — nawet w moich najbardziej apolitycznych okresach, a coś dopiero w tych latach rewolucyjnego fermentu — czerwony sztandar budził we mnie uśpione tradycje rodzinne.

Przed gmachem Związków Zawodowych, szarym i brzydkim, uformował się pochód. Ruszyliśmy pod kostnicę z — już rozwiniętym — czerwonym sztandarem. Nastroj był napięty. Krążyły niepokojące wieści: starostwo wydało zarządzenie, by zabitego pochować tuż obok kostnicy — na cmentarzu Łyczakowskim. Wedle poprzedniej marszruty miano go złożyć na Janowskim. Aby się dostać na ten cmentarz, kondukt musiałby przejść przez środek miasta, przeistaczając się tym samym w wielką manifestację polityczną. Idąc na Łyczakowski natomiast, pozostałby prawie niezauważony.

Gdy wyniesiono trumnę z kostnicy, rozległy się okrzyki: ” Na Janowski!” Tysiące pięści dzwignęło się w górę. Chwiejnie, wśród rozstępujących się szeregów, trumna przepłynęła z jednego końca pochodu na drugi. Kondukt zrobił w tył zwrot; wbrew zakazowi władz szliśmy na Janowski. Mimo upału okna były pozamykane, żaluzje pospuszczone. Kamienice zdawały się odgradzać nieufnością od ulicznych wydarzeń; tylko lufciki strychów zdawały się obserwować bacznie to, co działo się w dole.

Wtem z wysoka — chyba właśnie z owych lufcików — sypnęło po nas drobnym makiem. W okamgnieniu szeregi pękły, wszczął się zamęt. O parę kroków ode mnie ktoś wołał: «Ratunku!» W tym zamęcie uciekałem i znów

biegłem naprzód, chwyciwszy cegłę z przydrożnej budowy. Moim punktem orientacyjnym była górująca nad tłumem trumna. W pewnej chwili znikła mi z oczu, jakby się osunęła, po czym wypłynęła znowu, ale teraz niesiona już chyba przez innych — tak, przez innych.

Nie w szeregach już, bezładnymi kupami, wciąż pod nie wiadomo skąd dolatującym ostrzałem, dobiegliśmy do najwykwintniejszej dzielnicy miasta, zasłanej teraz odłamkami szkła i kamieni. Materiały, obuwie, cacka jubilerskie stały na wystawach — dostępne, nie chronione już przez szyby ani przez policję i czekające jedynie na chętnych; nikt nic nie ruszał. Krzyczano: "Nie rabować." "Na Brygidki! Odbić więźniów politycznych!"

Na ulicy Zygmuntowskiej, u której wylotu szarżało więzienie, mignęły mi zadarte pyski końskie i usłyszałem tętent kopyt. Szarża policji — pomyślałem i uskoczyłem do sieni. Gdy wyszedłem, ulica była pusta; po drugiej stronie dozorca wciągał jakieś ciało do bramy. Aby odetchnąć, wpadłem do parku Jezuickiego. Kręciły się tu niańki z dziećmi, skrzypiał piasek i resory wózków, jakiś student ruszał wargami nad skryptem.

Niedługo tam wytrzymałem. Bocznymi uliczkami przedostałem się na plac przed Teatrem Wielkim. Tam, u wylotu Gródeckiej, leżał już przewrócony w poprzek przez jezdnię tramwaj. Jakiś chłopak zatrzymywał furmankę i wypręgał konie. Wóz wspólnie z tramwajem stanowiły przegrodę biegnącą przez całą ulicę. Była to prawdziwa barykada — jedyna, jaką widziałem w życiu. Dotąd znałem ją tylko ze słyszenia, z przemówień i z pieśni; teraz — słowo stawało się ciałem.

Nie było czym o nią walczyć: mieliśmy tylko kamienie. Z przeciwnika, od strony więzienia, gwizdały policyjne kule: ktoś upadł trafiony i usłyszałem krzyk kobiety. Niebawem ujrzałem, jak mundury policyjne wychylają się spoza teatru, biorąc nas w dwa ognie. Rozproszyliśmy się. Barykada na Gródeckiej — jedna z najbardziej krótkotrwałych, jakie zna historia — została zdobyta. Długo jeszcze tego dnia — aż do późnego wieczoru — trzeszczały salwy i krążyły patrole po zaciemnionym mieście. Niezliczone klepsydry, które nazajutrz upstrzyły jego mury, starannie przemilczające przyczynę tylu równoczesnych zgonów, świadczyły o przerażeniu władz wobec własnego dzieła."

V. Wejście w literaturę

Wydarzenia te spowodowały, że pod koniec 1936 i z początkiem 1937 roku związałem się ściślej niż dotychczas z partią komunistyczną. Nie będąc nigdy

jej członkiem, stałem się odtąd aktywnym sympatykiem: mieszkanie swe oddałem do dyspozycji jako miejsce zebrań i skład nielegalnej bibuły.

Właśnie wtedy ukończyłem studia i znalazłem się na rozdrożu. Gimnazjów żydowskich było niewiele i wszystkie — obsadzone. O otrzymaniu pracy w szkole państwowej nie mogłem — podobnie jak żaden Ukraińiec, Białorusin czy Litwin — marzyć. Tenże prof. Ryszard Ganszyniec, który zachęcił mnie niegdyś do studiowania filologii, gdy napomknąłem mu po złożeniu magisterium o asystenturze, oświadczył mi, spozierając znacząco na umywalkę: „Ten kurek więcej tu może niż ja.” Chodziło oczywiście o przyjęcie chrztu.

Nic nie wiązało mnie już ze Lwowem. Co więcej, pewne poszlaki wskazywały na to, że jestem pod inwigilacją. Zdrowy rozsądek dyktował jak najrychlejszą zmianę miejsca pobytu. Do przeniesienia się do Krakowa skłaniały mnie również zamiłowania literackie. Był to teren ciekawszy od Lwowa, ilość zebranych tam indywidualności pisarskich — większa. W nawiązaniu pierwszych kontaktów z tamtejszym środowiskiem pomógł mi listem polecającym Bruno Schulz.

Nie opowiedziałem jednak dotychczas, jak poznałem Schulza, za jego zaś pośrednictwem — Gombrowicza, czyli jak wdarłem się na — mającące jeszcze wówczas w oddali — szczyty literatury. Debiut miałem niełatwy: przeszkadzało — pochodzenie. Pisarzy mojej proweniencji było w latach dwudziestych sporo, i to — nie lada jakich. Teraz jednak — w miarę narastania faszyzmu — dostęp do pism stawał się coraz trudniejszy. Nawet „Wiadomości Literackie” patrzyły niechętnie na debiutantów Żydów: dość miały — swoich.

Pozostawały polskojęzyczne pisma żydowskie — w zasadzie syjonizujące. Co do mnie — syjonistą nie byłem, więc i tu było niełatwo. Toteż jak z nieba spadło skierowane do mnie oraz do dwu parających się piórem rówieśników zaproszenie ze strony jakiejś instytucji lwowskiej — urzędnika wieczoru. Potrzebne było jednak nazwisko wprowadzające. Trudność polegała na tym, że nikogo z pisarzy lwowskich nie znaliśmy; trzeba było rozejrzeć się po prowincji. Wybór nasz padł na Schulza, który mieszkał pod bokiem, w Drohobyczu; delegowano — mnie.

Ulica Floriańska przypominała widoki mojej rodzimej Targowicy: takie same domy, powleczone sinką, na przyzbach — kobiety w perukach, taplające się w rynsztokach bachory, Zarwańska, słowem, ulica — tyle że u wylotu znajdowała się kapliczka z Matką Boską. Dom Schulzów był okazalszy od innych — podmurowany. Przez zarosłe chwastami podwórze wchodziło się do kuchni, po której krzątały się trzy stare, rozczochrane kobiety: siostra pisarza, jego kuzynka oraz gosposia, owa Adela, która w rzeczywistości zwała się Ruchlą.

On sam przebywał w najdalszej, wytapetowanej książkami izbie. Aksamitny, wypłowiasty, mysi, biegł truchcikiem pod ścianami, na których wisały dość ryzykowne — jak na prowincjonalnego nauczyciela — rysunki: nagie kobiety w pończochach i słomkowych kapeluszach mkną w dorożkach przez prowincjonalny rynek; cherlawi mężczyźni o olbrzymich głowach i gorączkowym spojrzeniu czołgają się u stóp niedbale rozwalonych w fotelu kobiet.

Biegając, Schulz to okurzał książkę, to składał się jak gdyby do strzału. Mimo tych awanturniczych gestów człowiek okazał się jak najżyczliwszy. Zgodził się przyjechać do Lwowa i rzeczywiście przyjechał, mały, niepozorny, z głęboko osadzonymi oczyma, by odczytać nie opublikowanego dotąd *Emeryta*, opowieść o niepotrzebnym, wycofanym z obiegu człowieku, który zapisuje się z powrotem do szkoły, aż go w pewnej chwili porywa wicher jesienny.

Kiedy w wiele lat później — już za okupacji, jesienią 1942 — otrzymałem zwrot wysłanej do Schulza pocztówki ze znamienym dopiskiem judenratowskiego urzędu pocztowego — bo poczta była oddzielna — „Adresat nieznany”, co było umownym sygnałem jego śmierci, przysły mi na myśl zamykające owo opowiadanie słowa emeryta: „A mnie niosło wyżej i wyżej, w żółte niezbadane jesienne przestworza.”

Wróćmyż do owego wieczoru autorskiego... Dopiero po nim zapoznałem się, wstyd powiedzieć, ze *Sklepami cynamonowymi* Schulza, których lekturę odchorowałem; do tego stopnia ujawniały mi one moje głębsze „ja”, owo zafascynowanie prowincjonalną martwością, skazujące mnie na bezgraniczne oczekiwanie — czego? Jakiejś akcji, która by ją ożywiła. I ta akcja przyszła — dosłowna, realna. Schulz w niej zginął, ja — ocalałem.

Na razie nawiązałem z nim korespondencję. Podczas wakacji zaś odwiedzałem — niemal co niedziela — w niedalekim Drohobyczu. Schulz okazał też dużą życzliwość dla moich debiutów krytycznych. „Sandauer to młody chłopak — pisał o mnie do Romy Halpernowej — który na omawianiu (bardzo inteligentnym) mojej twórczości głównie (i Gombrowicza) zdobył ostrogi literackie.”

Podczas jednej z wizyt w Drohobyczu nadmieniłem mianowicie Schulzowi, że wpadł mi w ręce zupełnie niebywały zbiór opowiadań jakiegoś Gombrowicza *Pamiętnik z okresu dojrzewania* (późniejszy tytuł *Bakakaj*). „Toż ja go znam — zawołał uradowany. — Nawet się przyjaźnimy.” W ten sposób miał się nawiązać nasz — tak płodny w skutki — trójsojusz.

Dzięki polecającemu listowi Schulza do krakowskiego krytyka Henryka Webera wszedłem w tamtejsze środowisko literacko-plastyczne. Poczułem się od razu w siodle. Od tego czasu datują się moje kontakty z przed i powojenną Grupą

Krakowską oraz z teatrem „Cricot”, kontakty, które miały tak bardzo zaważyć na moim życiu.

Rok 1938 * był płodny w wydarzenia literackie. Zmarł Bolesław Leśmian, którego pamięć — jeden z niewielu — uczciłem pośmiertnym artykułem. Ukazały się *Sanatorium Pod Klepsydrą* Schulza oraz *Ferdydurke* Gombrowicza. Łączny esej o obydwu napisałem jeszcze przedtem. Przesłałem go Schulzowi, ten zaś — Gombrowiczowi, który postarał się o zamieszczenie go w „Pionie”. Był to mój debiut stołeczny.

Sanatorium Pod Klepsydrą, gdzie było sporo znakomitych, ba, genialnych opowiadań, określił sam autor w rozmowie ze mną jako „parerga kaj paralipomena”, czyli jako „dodatki i odpadki”: że niby — po *Skleпах cynamonowych* — nie wnosi ona nic zasadniczo nowego. Inaczej z *Ferdydurke*. To — w stosunku do *Pamiętnika* — było czymś zasadniczo nowym. Po latach miałem to nowe określić na terenie francuskim jako „polską formułę egzystencjalizmu”.

Sęk jednak w tym, że egzystencjalizmu — jeszcze nie było; swoje *L' Etre et le Neant* miał wydać Sartre dopiero w sześć lat później. Jakieś jednak jego przeczucie jest i w *Ferdydurke*, i w moich ówczesnych o nim artykułach. „Jesteśmy funkcją świata wewnętrznego innych” — zdanie to pochodzi nie z Sartre’a, lecz z mego artykułu, który — jako najwcześniejsza chyba recenzja z *Ferdydurke* — ukazał się w „Pionie” (1938, nr 2). Znaleźć go można w moich *Pismach zebranych* pt. „*Ferdydurke*” po raz pierwszy.

W okresie krakowskim dojrzałem nie tylko literacko, ale i towarzysko; edukacji miał dokończyć dwumiesięczny pobyt w Warszawie jesienią 1938 roku. Niewiele tam zwojowałem, a jednak pobyt ów miał zaważyć na mojej przyszłości. Kiedym znalazł się po okupacji znowu w środowisku literackim, nie byłem już tam kimś całkowicie nieznanym. Pamiętano mnie z publikacyj w „Pionie”, co — mimo wszystko — liczyło się bardziej niż publikowanie w powojennym „Odrodzeniu”. Pamiętano i z „Zodiaku”.

A więc — stolik w „Zodiaku”... Uczylem się obyczajów środowiska, jego chwytów i zagrań. Panował tu styl polegający na pochodzeniowych przechwałkach, na arystokratycznym „reraniu” (proponuję nawrót do tego staropolskiego wyrazu, lepszego niż francuskie „grasejowanie”). Styl ów narzucał panujący wszechwładnie przy stoliku Gombrowicz; inni przyjmowali potulnie jego sposób bycia.

* Autor oczywiście się przepisał, chodzi o rok 1937 [przyp. red.J.]

Naśladował go zwłaszcza Stefan Otwinowski, który — trochę na zasadzie „ja i pan dyrektor” — powtarzał Gombrowiczowskie sformułowania jako wspólne: „Bo my z Witoldem ustaliliśmy...” Pamiętam, jak — podczas jego relacji z pobytu w rodzimym Kaliszu, gdzie dostał jakąś nagrodę — Gombrowicz albo go poganiał: „Prędziej, panie Stefanie!”, albo przyhamowywał: „Dlaczego tak prędko, panie Stefanie!”, czemu pan Stefan posłusznie się poddawał.

Gombrowiczowi, który bywał w kawiarni po dwa razy dziennie, asystowałem — choć może mniej posłusznie — i ja. Odprowadzałem go też wieczorem groźnymi ulicami Warszawy — chyba na Chocimską. Co mnie uderzyło, to brak w jego życiu kobiet. Dosiadały się, co prawda, ale były to znajomości kawiarniane. Dosiadała się Zuzanna Ginczanka, później autorka wstrząsającego wiersza, zamieszczonego pośmiertnie przez „Odrodzenie”; dosiadała też — wysoka, po semicku przystojna Bella Gelbard, znana po wojnie jako kpt. Czajka.

Kiedy zjawiłem się w „Zodiaku” — był to mój pierwszy wieczór w Warszawie — Gombrowicz przedstawił mnie Belli jako „przybyłego z prowincji wielbiciela”, po czym szepnął jej coś na ucho. Co — mogłem się domyślić, gdy po chwili zaproponowała mi ni stąd, ni zowąd, bym uporządkował jej bibliotekę, a przy okazji — przychodził na obiady. Te obiady pozwoliły mi przetrwać w Warszawie przez dwa miesiące.

Nie byłem pierwszym pensjonariuszem Belli. „Petycję 34” z 14 marca 1964 roku pamięta każdy. Nie każdy wie jednak, że gdy Kliszko, delegowany przez Gomułkę do ZLP, by uzasadnić represje wobec sygnatariuszy (do sprawy tej jeszcze wrócimy), zaczął coś bąkać wobec wrogiej, zatłoczonej sali, Bella przerwała mu: „Głośniej, synku!” Ten „cwiszenruf” zmieszał go do reszty, zebrani przyjęli go rykiem śmiechu. Nie wiedzieli, że przed wojną bywał — jak ja, tyle że trochę wcześniej — na obiadach u Belli i stąd owa poufałość.

Wracając do naszych spacerów z Gombrowiczem... We dwójkę był on kimś zupełnie innym i o wiele sympatyczniejszym niż w kawiarni. Nie błaznował, nie usiłował zdominować; mówił serio i mówił rzeczy ważne. Jakkolwiek polityką — wedle słów własnych — interesował się tylko o tyle, o ile w grę wchodziła jego skóra, wystarczyło to jednak w zupełności, by miał instynktowne wyczucie tego, co się działo w ówczesnym świecie. „Stąd trzeba wiać — powiedział mi pewnego wieczoru. — Tu będzie straszna rzeźnia.” I — nawiał.

A działo się coś rzeczywiście groźnego: Hitler zajmował Sudety, zmuszał Zachód do coraz dalszych ustępstw; Polska się jeszcze nie ocknęła. Nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę, że rozbiór Czechosłowacji jest wstępem do naszego i że zachowujemy się jak Odyseusz, który — by udobruchać Polifema (znowu ten

Polifem!) — ofiarowuje mu bukłak z winem, za co w nagrodę ten — obiecuje go pożreć na ostatku

VI. Na przejściu

I znów Sambor, prowincjonalna nuda, upały mołdawskie, z okien — muzyka radiowa. Tyle że tym razem było coś jeszcze: oczekiwanie. Skwarne lato powoli mijało, skwar przydawał mu jeszcze powolności. Ale bywały dni, kiedy mijanie nabierało tempa, szło na skróty. Napływały alarmujące wiadomości. Pierwszego września wpada do mego pokoju ojciec ze słuchawkami na uszach: „Wojna!”

Poborowym rozkazywało dowództwo przemieszczać się na wschód, gdzie miano ich zmobilizować. Ruszyłem na Drohobycz rowerem — szosą pełną cofającego się wojska. Po drodze — bombardowania, przejeżdżane w kartofliskach, żołnierze w rozsypce, namawiający, by iść wraz z nimi na Zaleszczyki. Ale nie! Oparłem się w Drohobycz. Sypiałem u Schulza, jadałem — z żywnością było już krucho — u drohobyckich krewnych.

Słuchaliśmy komunikatów polskich, a gdy te zamilkły — niemieckich. „Wiesz? Ich samoloty są podobno pilotowane przez młode dziewczęta” — powiedział mi Bruno z błyskiem podniecenia w oczach. Zginąć z rąk bombardiera płci żeńskiej — było snadź szczytem jego marzeń. Albo — innym razem... „Popatrz! Hitler i ja... Niby nic wspólnego, a jednak...” Przypomniało mi się — podobnie metafizycznie megalomańskie zdanie z jego *Wiosny*: „Tu jest miejsce na przeprowadzenie paraleli między Aleksandrem Macedońskim a moją osobą.”

Niemcy wkroczyli do Drohobycza: był to najdalszy punkt ich marszu na wschód. Pobyli ze dwa-trzy dni, zdążyli spalić synagogę, gdy z radia napłynęła radosna wiadomość o wkroczeniu Armii Czerwonej. Radosna, gdyż Schulz i ja — jak większość inteligencji polskiej pochodzenia żydowskiego — komunizowaliśmy, poza tym zaś — po Niemcach — jakakolwiek zmiana była zmianą na lepsze.

Na ulicy — Sowietci na olbrzymich czołgach: czarniawy chłopak wskazuje na wieżyczkę, obejmuje się z tankistą. Nowo przybyli wyglądali niepokąźnie — karabiny na sznurkach, szynele nie poobszywane, nic z wyekwipowanych wzorowo Niemców. Za to byli ujmująco przystępni. Na rogach propagandziści z nieodmiennym: „U nas wsio jest” albo „Wsio budiet”. Było jednak — miało się okazać — niewiele.

Z tym wszystkim — przynosili rewolucyjne zmiany: znikło bezrobocie, znikły różnice narodowe, znikły i klasowe, czy raczej te zaczęły działać w odwrotnym kierunku. Pracy — kiepsko co prawda płatnej — było w bród. We Lwowie — rzecz dotąd niewyobrażalna — powstały trójnarodowe — polsko-ukraińsko-żydowskie — zrzeszenia studentów, artystów. Do życia literackiego włączali się i Boy-Zeleński, i Maksym Tudor, i Nuchim Bomze na równi.

By przeskoczyć okres paru miesięcy... Usiłował włączyć się i Schulz. Jedyne opowiadanie, które napisał i które mi — podczas jednego z późniejszych pobytów u siebie — przeczytał, dotyczyło żydowskiego szewczyka o wystających — niczym kanty w szewskim zydłu — kościach czołowych. „Narodził się — oto jedyne zdanie, jakie zapamiętałem — z ojcowskiego ciśnięcia zydłem.” Rzecz przesłał do założonych właśnie we Lwowie „Nowych Widnokręgów”, które mu ją — i chyba słusznie — zwróciły. Mogły sobie jednak oszczędzić pouczającego listu, podpisanego przez Adama Ważyka, który brał teraz odwet za niepowodzenie własnej „awangardowej” prozy: *Człowieka w burym ubraniu*, *Latarnie świecą w Karpowie*, *Mitów rodzinnych*. „Musi pan zmienić sposób pisania” — pouczał. Nieudane to i — na szczęście — zaginione opowiadanie było ostatnim, jakie Schulz napisał.

Wracając do września 1939... Sklep z rowerami rozbili cofający się żołnierze, a więc cały dobytek ojca poszedł na marne. On sam natomiast stał się na parę dni gwiazdą sezonu. U samborzan, nie bardzo się orientujących w odcieniach ideologicznych, miał on, choć pepeesowiec, opinię „bolszewika”. Dom nasz stał się celem pielgrzymek: przychodzono prosić o pracę, ochronę, protekcję. Dopiero gdy się zorientowano, że ojciec u steru władzy bynajmniej nie staje, nastąpił kres tej wędrówki ludów.

Również i do komunistów z prawdziwego zdarzenia nowa władza odnosiła się podejrzliwie: nie tak dawno rozwiązano przecież partię. Niezbyt znając się na far-bowanych lisach — a może właśnie znając się na nich — darzyła ona zaufaniem nacjonalistów ukraińskich, którzy podszywali się pod lewicowość i garnęli do sta-nowisk, by niebawem — po wybuchu nowej wojny — dać się poznać jako zagorzali zwolennicy Hitlera.

Pracę w polskiej dziesięciolatce otrzymałem z miejsca. Łaciny i greki nie było, przydzielono mi rosyjski, o którym miałem pojęcie — tyle co z ukraińskiego. Trze-ba się było uczyć samemu, a że i podręczników brakło, uczyłem się na świeżo poznawanym Majakowskim. Czytałem uczniom *Dobrze*, poemat o rewolucji i nędzy, który stopniowo — po niezliczonych lekturach — wrastał mi w pamięć.

Oryginał zdobyłem w pełnym uchodźców Lwowie. Piękny był wrzesień, ale gdzieś w październiku pogoda się popsuła. Zaczęły się uciążliwe dla ludzi bez

ekwipunku i mieszkania deszcze. W ogonku do Polskiego Zawodowego Związku Literatów, gdzie dla otrzymania jakichś przydziałów, mówiono, trzeba się było zgłosić, poznałem uchodźcę z Poznania, o którym za chwilę. Wpierw o prezesa miejscowego Związku.

Był nim Ostap Ort win, krytyk młodopolski, wsławiony napastliwym artykułem o Pawlikowskiej. Żyd- -arcysarmata — bywali, zwłaszcza w starszym pokoleniu, i tacy — zwał się naprawdę Katzenellenbogen, kamuflował swą żydowskość kresowo brzmiącym pseudonimem. Niewiele mu to miało pomóc w niedalekiej przyszłości, zginął — jak inni. Tę właśnie postać miał opisać Adolf Rudnicki w znakomitej noweli o *Wielkim Stefanie Koneckim*, którego prawdziwe nazwisko brzmiało — Kohn.

Do Związku mnie ów Ortwin-Katzenellenbogen nie przyjął: zbyt mały miałem dorobek. Stojąc natomiast w ogonku, poznałem Allana Koskę, który miał na sobie wszystkiego — przyjechał przecie na ferie — jakieś kuse spodenki i letnie sandały. Grasejował z francuska i z miejsca — jeszcze w ogonku — zaczął mi recytować swoje przekłady z Heredii, ja — jemu swoje i gadu- -gadu zaprosiłem go do siebie, do Sambora.

Znajomość z nim miała mi się przydać w przyszłości. Gdy w 1960 roku zjechałem jako stypendysta Forda na rok do Paryża, by lansować Gombrowicza i Schulza, Kosko, zamieszkały już wówczas na stałe we Francji, okazał się wielce pomocny. Zrobił doskonały przekład *Martwego sezonu*, który — zamieszczony w „Lettres Nouvelles” — wywołał światową furorę.

Wróćmy do Sambora 1939—41! Zdobywałem sympatię uczniów nie tylko dla Majakowskiego, także dla siebie. Gdy w dwa lata później, już za Niemców, znalazłem się podczas akcji na ulicy (wyprosił mnie właśnie z domu przyjaciel, który obiecywał mi być poprzednio schronienie, ale w ostatniej chwili stchórzył), narażony w każdym momencie na zaczepienie przez patrol, podszedł do mnie mój były uczeń z radzieckiej szkoły nazwiskiem Józef Wójcik i spytał... Ale o tym — potem...

Zasadą postępowania nauczycieli-Polaków było trzymać się możliwie na uboczu, w oficjalności się nie angażować, wrabiać w nie natomiast — Żydów. Dyrektorem szkoły został przedwojenny wykładowca religii mojżeszowej, postać przekomiczna, wsławiona powiedzeniami w rodzaju: „Ty wyrodny synu narodu wybranego!” Za swoją „karierę” miał niebawem drogo zapłacić.

Usiłowano też zrobić i mnie. Pracę nad referendum, które właśnie organizowano, zwalono na nauczycieli, wśród nich zaś — na mnie jako na najmłodszego, no i na Żyda. „Mamy do pana pełne zaufanie” — mówili wybierający mnie koledzy, nie wiadomo, kpiąc czy o drogę pytając. Praca okazała

się nieuciążliwa: trzeba było odfajkować tych, którzy sprawdzali, czy są na liście.

W przeddzień wyborów zwrócił się jednak do mnie przewodniczący komisji. „Jutro — meeting na Rynku. Ty świetnie władasz ukraińskim. Idź, wystąp!” Szedłem — jak na ścieżce. Dzień — mżysty, z przejaśnieniami; przed Ratuszem — istny spód. Na pierwszym piętrze, na ławie — przedstawiciele szesnastu wyborczych komisji; siadłem na miejscu trzynastym. Wychodzili kolejno na balkon, by przemówić do tłumu, który odpowiadał brzmącą — nie wiadomo czemu — ironicznie owacją. Zaczynało się od słów w rodzaju: „Czerwona zorza się pali...”, kończyło zaś nieodmiennie: „Niech żyje słońeczko nasze, geniusz ludzkości...” itd. Stopniowo powstawała z tego formuła, od której uchylić się nie było sposobu.

Co powiedzieć? — wierciłem się na miejscu. Jaki wybieg znaleźć? Nagle — dziewiąte z kolei przemówienie przerwał ulewny deszcz, który rozproszył zebranych. Co byłbym powiedział, gdyby pogoda dopisała? Sam nie wiem. W każdym razie — czy byłbym się jakoś wykipił, czy wygłosił formułę, losy moje byłyby się potoczyły inaczej.

Gdybym jej nie był powiedział, byłbym się może znalazł wśród ludzi z światowa odsunęła się w nieokreśloną przyszłość, więc trzeba się było z tamtego paragrafem 11 w paszporcie, czyli przeznaczonych do wywózki. Gdybym był powiedział... Nacjonaliści ukraińscy, sami angażując się bez zażenowania, skrętnie notowali nazwiska tych, którzy się angażowali. Kto wie, czy byłbym uszedł cało z pogromu, który mieli urządzić po wkroczeniu Niemców, 26 czerwca 1941 roku.

Wracając do czasów radzieckich... Szkolnictwo, jak w ogóle wszystko, było w pełni zbiurokratyzowane, nauczycieli oceniano wedle procentu dobrych not, jakie stawiali; swoją pracę oceniali eo ipso sami. Wszystko — od republiki po ucznia — objęte było umowami o współzawodnictwo socjalistyczne. Kto stawiał noty z jaką taką rzetelnością, psuł ogólny procent, był czarną owcą; byłem nią oczywiście i ja.

W ogóle, by załatwić cokolwiek, należało to wpierv przełożyć na język biurokratyczny. Bez tego — ani rusz. Ot, skierowano mnie kiedyś do oddalonej o dziesięć kilometrów szkoły, bym wykładał rosyjski poborowym. Pora marcowa, roztopy, komunikacji brak. Jest przecie — perswadowałem kierującej mnie tam instancji — nauczycielka na miejscu. Ale była to Ukrainka, którą chciano oszczędzać: zajęcie było bezpłatne. Do mnie — jak oświadczone — miano zaufanie (znowu to zaufanie!).

By wykonać to zadanie, należałoby po sześciu godzinach nauczania brnąć przez błota, wracać pieszo nocą. Było to na dobrą sprawę niemożliwe. Protestowałem,

piisałem zażalenia — na nic. Rzeczo odesłano do rozpatrzenia kierującej instancji; ta zaś utrzymała decyzję w mocy, ba, zaczęła coś przebąkiwać o mojej niechęci do armii rosyjskiej. Trudno, trzeba się było podporządkować.

Rada w radę, kupiłem foldery z rosyjskimi piosenkami — tyle, ilu było poborowych. Kazałem im odśpiewać rozmaite *Katiusze*, odfajkowałem zajęcia i — więcej się nie pokazałem. Odfajkowywałem i następne — już ich w ogóle nie odbywając: nie było mnie po prostu stać na dorożkę, którą przyjechałem za pierwszym — i jedynym — razem. Sprawozdania składałem regularnie i — cóż? Okazało się, że o to właśnie chodziło.

Ale te biurokratyczne ceregiele — to górna warstwa ówczesnej rzeczywistości. Tylko z rzadka — ciarkami po grzbiecie — przebiegało przeczcucie istnienia — dolnej. Z rzadka — mówię — gdyż zdarzało mi się tu i ówdzie wchodzić w bezpośredni z nią kontakt. Oto na przykład przyszedłszy pewnego dnia do klasy, zastałem ją przerzedzoną, pomniejszoną o parę uczennic czy uczniów, których tej nocy deportowano. Deportacja pierwsza dotyczyła byłej administracji polskiej, druga — uchodźców, przeważnie Żydów, którzy zgłosili się na powrót do zachodniej części Polski, zajętej wówczas przez Niemców.

Niebawem, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość o dokonanych we Lwowie wśród polskich pisarzy aresztowaniach. Poraziło też pospieszne posłuszeństwo prasy, potępiającej aresztowanych. Broniewskiego nazwano przy okazji „defensywiakiem” (agentem tajnej policji sanacyjnej). Ukazywało się nowe oblicze tej — tak, rzekłbyś, dobrodusznej — władzy: terror.

Trudno się było zorientować w jego kierunku: ciosy spadały jakby na ośle. Czasem decydowały względy administracyjne: chęć usunięcia z pogranicza ludzi niepewnych. Czasem — prywatne: chęć, dajmy na to, zawładnięcia czyimś mieszkaniem. Zapanowała dezorientacja: „Paweł Hertz? — mówiono. — To da się jeszcze zrozumieć. Ale — Broniewski?” Aż wreszcie z chaosu i zamętu wyłoniła się — linia.

Represje były skierowane głównie, choć nie wyłącznie, przeciw ludziom związanym — życiem czy przekonaniami — z Rewolucją Październikową. Ta — miała zasięg krajowy, ale ambicje — międzynarodowe. Że jednak rewolucja ideału niepostrzeżenie wycofać, spychając go w świat więzień i obozów.

Każdy, czyj horyzont wykraczał poza granice państwowe, uchodził za odchyleńca, stawał się potencjalnym przeciwnikiem budowy socjalizmu w jednym kraju. Podejrzani o odchylenia byli zwłaszcza ludzie ideowi o internacjonalistycznym nastawieniu: najbezpieczniej było uchodzić za gotowego na wszystko konformistę.

Dojeżdżając do Lwowa, mogłem się przyjrzeć zmianom, jakie pod wpływem terroru zachodziły w życiu literackim. Aresztowania wywołały popłoch, teraz na zasadzie kija i marchewki podjęto inicjatywę pozytywną. Miano w trzech językach — polskim, ukraińskim i żydowskim — stworzyć „poemat kolektywny” pt. *Szczęśliwy rok*. Każdy fragment, pisany w jednym z języków, miał zostać przełożony na dwa pozostałe. W ten sposób miały się narodzić trzy — identyczne w treści, choć różniące się językiem — poematy o wrześniu.

Nad projektem zażarcie dyskutowano. Prym dzierżył Adam Ważyk, który dorabiał sobie właśnie przeszłość komunisty; nikt jej jakoś dotąd nie znał. Już wówczas był rabinicznym ideologiem „ludowości”, formalistycznym pogromcą „formalizmu”, toczącym — w imię marksistowskiej ortodoksji — walkę z rymami męskimi czy z tonicznymi ósmiozgłoskowcami.

Z dyskusji tych, które znalazłem z relacji Przybosia, wyłaniały się już zarysy przyszłego życia literackiego Polski Ludowej. Mądrzono się w nich straszliwie. Właśnie Ważyk postawił problem miary wierszowej „kolektywnego poematu”. Winien on — wywodził — mieć jednolite metrum, a przecie w każdym z trzech języków obowiązuje inne. Jak je ujednolicić? „Czy ty naprawdę myślisz brać udział w tym głupstwie?” — spytał go Przyboś. Na co ten — dumnie: „Ja dla partii i na głupstwo jestem gotów.”

Do skutku jednak projekt nie doszedł: przeszkodziła wojna. A szkoda! Bylibyśmy mieli jeszcze jeden dokument „gotowości”. Doszedł natomiast do skutku przekład — też kolektywny — z Majakowskiego. Świadczy on o całkowitej nieznajomości rosyjskiego u tłumaczy, a niepełnej — polskiego oraz o niezrozumieniu poetyki Majakowskiego. Fatalny poziom całości wynika tu z konformizmu. Już wówczas zaczął się ów artystyczno- -etyczny upadek, który trwa po dziś dzień.

Dla mnie ukazanie się tego tomu miało jednak znaczenie zasadnicze. „Nowe Widnokregi” zamówiły u mnie recenzję, w publikacji której przeszkodziła znowu wojna. Ale praca nie poszła na marne. Musiałem głębiej poznać Majakowskiego, co miało mi się w przyszłości wielce przydać, kiedy to sam wziąłem się do przekładania tego poety.

W ogóle lwowski okres stał dla mnie pod znakiem przygotowania: życiowo — do okupacji, literacko — do przyszłej działalności krytycznej. Swą zachodnią kulturę wzbogaciłem o rosyjską, przestało mi wystarczać formalne mistrzostwo Francuzów. Zrozumiałem, że wielki pisarz — jak choćby Dostojewski — może pisać i od ręki, uwrażliwiłem się na ciepło literatury rosyjskiej.

21 czerwca 1941 roku wpadł do mego pokoju ojciec ze słuchawkami na uszach:
„Wojna!”

VII. Na dnie

Nazajutrz — jak śnieg na głowę — spadł Niunek Herzberg, stary mój przyjaciel, poeta, z którym stanowiliśmy na studiach nierozłączną parę. Ostatnio byliśmy obaj nauczycielami w dziesięciolatkach radzieckich, on — polskiego w przemyskiej, ja — rosyjskiego w Samborskiej. Miał na sobie czarny garnitur i lakierki, straszliwie zakurzone. Czterdzieści kilometrów z Przemyśla do Sambora przeszedł pieszo. Kanonada zza Sanu zastała go na uczniowskiej zabawie, skąd jak stał, ruszył na wschód.

Dzieje tych pierwszych dni — ewakuację miasta, wkroczenie Niemców, pogrom — opowiedziałem w *Zapiskach z martwego miasta*, redukując je tam do jednej sceny. W rzeczywistości było tych scen więcej. W czwartek z bolącym zębem poszedłem do polikliniki; jeszcze działała. Ktoś z przestrzelonym podbródkiem opowiadał gorączkowo, jak uszedł z dziedzińca więziennego, gdzie likwidowano więźniów. Odpowiedzialność za tę masakrę miano rzucić na Żydów, choć wśród rozstrzelanych byli i Żydzi. Brano ich do grzebania trupów, po czym zatłukiwano kolbami. Zginęło w ten sposób w naszym mieście 127 osób.

Na razie — po drodze z polikliniki do domu — usłyszałem łomot opuszczanych rolet sklepowych, widziałem pędzące co koń wyskoczy na Drohobycz furmanki z żołnierzami. Z jednej ktoś mnie okrzyknął; obejrzałem się. Tak, to był Niunek, który nie uprzedziwszy mnie o swych zamiarach zaciągnął się do wojska; był to jedyny sposób, by uciec przed Niemcami. Miał na sobie już nie czarny garnitur, lecz radziecki mundur. Zginął, jak i gdzie — nie wiadomo. Zostały po nim — w mojej pamięci — tylko te oto dwie zwrotki:

I wsłuchany, skupiony, jak rzeźbiarz przed ciosem.
Wygrabany w Carrarze, gdy rzeźbi oblicza
Tytanów, zmagających się z mocarnym losem,
Kiedy dłułem natchnionym każdy cios oblicza;

Tak stłumiwszy wysiłkiem serdeczne gorycze,
Pogrążony w spokoju wietrznego wspomnienia.
Zapamiętały, rzeźbię swych wierszy oblicze
Najostrzejszym z rylców, wykowanym z cienia.

Pogrom rozpoczął się nazajutrz. Zastał mnie na Rynku. Ujrzałem zmierzające w moją stronę postaci w opaskach, z karabinami. Wpadłem do najbliższej kamienicy. Na wysokości pierwszego piętra obiegała ją od wewnątrz drewniana galeryjka, na którą wychodziły drzwi kilkunastu mieszkań. W jednym znalazłem schronienie. Leżało ono po stronie lewej, co miało zdecydować o moim ocaleniu.

Przez dwa dni nasłuchiwalismy stukotu butów. Milicjanci ukraińscy wchodzili na galerię i skręcali na prawo, wciąż na prawo. Jest taki odruch: mając do wyboru dwie strony, wybieramy raczej prawą. Słyszałem łomotanie kolb o grzbiety i szlochanie wyprowadzanych. Trwało to przez piątek i sobotę. W niedzielę, gdy Niemcy wzięli już wszystko w garść, zjawiała się z serdecznościami poniewczasie pani Bułyńska. Była to Ukrainka, sędzina, z wiecznym papierosem w ustach, matka — drugiego po Niunku — mego dozgonnego przyjaciela, też poety oczywiście, Ilka.

Póki trwał pogrom, nie pokazywała się, teraz zapraszała do siebie. W istocie zamieszkaliśmy u Bułyńskich na dwa tygodnie. Wszyscy czworo. Czworo, gdyż tymczasem wróciły ze Lwowa matka i siostra. Nazajutrz po wybuchu wojny matka oświadczyła ojcu i mnie zdecydowanym głosem: „Dzieci, idę!” I poszła. Szła po córkę, która została odcięta we Lwowie, gdzie od roku studiowała medycynę. Szła siedemdziesiąt kilometrów w jedną i drugie tyle — już z siostrą — w przeciwną stronę; szła przez kraj ogarnięty wojną i pogromem.

Wszystko to opisała siostra we wspomnieniach, które niniejszym przedrukowuję wraz z włączonym fragmentem pióra czy raczej głosu — bo są to wspomnienia magnetofonowe — mojej matki. Obydwa oddają lepiej, niżbym ja to potrafił, bo z kobiecą szczegółowością, i samo przejście frontów, i — w sposób już bardziej skrótowy — późniejsze przeżycia okupacyjne naszej rodziny. W rozdziałach, które następują, oddaję zatem głos mojej siostrze, Irenie Sandauer-Glanz, oraz matce, Bercie Sandauer.

Irena Sandauer-Glanz: Czerwiec 1941

Urodziłam się w Samborze w 1922 roku. Tam skończyłam gimnazjum i w 1940 roku wyjechałam do Lwowa na studia. Wybuch wojny radziecko-niemieckiej zastał mnie więc we Lwowie. Byłam studentką medycyny i mieszkalam w bursie akademickiej. W niedzielę 22 czerwca zbudził nas warkot samolotów. Początkowo łudziłam się, że to manewry, ale już po paru godzinach spostrzegłam, że studentki-Rosjanki znikły z bursy (załadowano je na auta i wywieziono do Rosji), natomiast nasze koleżanki Ukrainki powyciągały (przygotowane widocznie) narodowe stroje, wyszywane bluzki, i nie kryły swej radości. Żydówki nie wiedziały, co począć.

Postanowiłam natychmiast wracać do domu. Skomunikowałam się z kolegami z Sambora, którzy mieszkali w domach akademickich Weterynarii i Politechniki — wyśmiali mnie. Najspokojniej w świecie siedzieli nad książkami i przygotowywali się do egzaminów. Po dwu dniach wyprowadziłam się z bursy, nie mogąc znieść panującej tam atmosfery, i przenieśliśmy się do naszych znajomych, państwa Hochmannów, którzy mieszkali przy ul. Małeckiego. Wkrótce po mnie przyszedł tam także kolega z Sambora, niejaki Metzger. Dozorca domu, Ukrainiec, odgrażał się niedwuznacznie: „A cóż to za żydowskie zgromadzenie!”

Tymczasem o opuszczeniu miasta nie było mowy. Pociągi nie kursowały, na ulicach toczyły się walki między Ukraińcami a Rosjanami, raz po raz wybuchała strzelanina. Leżeliśmy w mieszkaniu, gdy przyszedł p. Hochmann z wieścią, że jakaś starsza pani chce się ze mną zobaczyć. Nie poznał mojej matki, która przyszła po mnie z Sambora piechotą. O tym, co przeszła po drodze, opowie sama.

Berta Sandauer: Wyprawa do Lwowa po córkę

Natychmiast jak tylko zorientowałam się, co się święci, postanowiłam za wszelką cenę wydostać córkę ze Lwowa. Wyszliśmy razem z mężem na przedmieście. Stała tam już grupka osób: byli to, podobnie jak my, rodzice dzieci studiujących we Lwowie. Jakiś chłop obiecał, że przewiezie nas furmanką. Narady i pertraktacje trwały dość długo, mąż w tym czasie wyskoczył do domu po krople Walerianowe dla mnie. Kiedy wrócił, mnie dawno już nie było.

Początkowo szło się dość spokojnie. W pierwszej wiosce spotkałam kobietę z Sambora, poszliśmy razem aż do Rudek. Tam wstąpiłam do jej krewnych, którzy usłyszawszy, dokąd się wybieram, radzili, żebym zrezygnowała z drogi. Ale nie dałam się odstraszyć. Powiedziałam im: „Zaraz wrócę.” Zapytałam tylko, którędy się idzie. Wyszłam i tyle mnie widzieli. Dotarłam do Lubienia i tam zanocewałam u znajomego z Sambora, pana Ehrlicha, muzyka z orkiestry zdrojowej. Ehrlich obiecał, że nazajutrz wsadzi mnie do pociągu, oczywiście tylko w tym wypadku, jeśli jakiś pociąg w ogóle odjedzie.

Nie czekałam, raniutko wyszłam na drogę. Pomiędzy Lubieniem a Basiówką spotkałam kilku parobków. Jeden z nich krzyknął: „Kobieto, dokąd ty leziesz? W sam ogień?” „Do Lwowa, po córkę” — odpowiedziałam. Wtedy chwycił mnie za rękę. „Jak córka żyje, to sama wróci!” Ale drugi parobek odsunął go i powiedział: „Daj spokój, nie zatrzymuj jej. Matka przedostanie się.” Poradził mi, abym szła przez Basiówkę przez folwark, i wskazał mi drogę.

Poszłam. Kiedy uszłam kawałek drogi, spotkałam jakiegoś mężczyznę. „Człowieku — powiedziałam do niego — chcę do Lwowa. Mam tam jedyną

córkę, pokaż drogę.” „Najpierw odpocznij” — rzekł, a kiedy siadłam, wyniósł mi kubek kwaśnego mleka. Potem pokazał: „Tam, po prawej stronie, jak Basiówka, prowadzi droga do Lwowa.”

Poszłam we wskazanym kierunku i znowu uszłam kawałek drogi, kiedy ujrzałam, że pod lasem stoi jakiś dziwny przyrząd, niby motocykl z kominkiem i przymocowaną doń poprzecznie rurą, coś bardzo dziwnego. A obok stoją dwaj panowie, jeden w czapce z daszkiem, drugi w słomkowym kapeluszu. Pytam z głupia frant: „Znacie drogę na Basiówkę?” Odpowiedzieli łamaną z niemiecka polszczyzną: „A ty skąd? Dokąd idziesz?” Natychmiast zorientowałam się, co to za jedni. Odrzekłam: „Idę do Lwowa po córkę. Nie chcę, żeby została z Rosjanami. Do nas dziś—jutro wkroczą Niemcy.”

Usłyszawszy to, mężczyźni zaczęli wypytywać, co widziałam po drodze, w jakim kierunku idą wojska, kogo spotkałam i tak dalej. „Ruch wielki — rzekłam. — Rosja w rozsypce. Łada dzień spodziewamy się Niemców.”

Jak to usłyszeli, zwiali migiem w las. Był to niemiecki desant.

Poszłam dalej. Nagle ze zboża wychodzi kobieta w czerwonej chusteczce, z wiaderkiem w ręku. „Co u was?” — pytam. „Źle” — odpowiada. „Zabierzcie mnie z sobą — mówię. — Idę do Lwowa.” I poszliśmy razem, wzdłuż lasu. Kobieta szła do Skniłowa, z obiadem dla męża. Po drodze uzbierała poziomek. Dała mi je: „To dla twojej córki”. Kiedy doszliśmy do mostu, powiedziała: „Dalej nie mogę z tobą iść, to już Skniłów. Ale podprowadzę cię jeszcze kawałeczek i oddam ludziom w ręce.”

Tak też zrobiła.

Dotarłam wreszcie do Lwowa. W mieście strzelanina. Idę ulicą, a tu nagle — świst! Nim zorientowałam się, co to takiego, idący ze mną chłop chwycił mnie w pół, wyważył zamknięte drzwi najbliższego domu, wrzucił mnie dosłownie do środka i sam wpadł za mną. Później, gdy strzały ucichły, wyszłam na miasto i przez pół dnia krążyłam po Lwowie, oddając listy, jakie mi w Samborze wręczyli rodzice, którzy zrezygnowali z wyprawy po swoje dzieci. Dopiero pod wieczór dotarłam na Małeckiego. Nie poznali mnie. Pinia Hochmann przeciera oczy: „Ty tutaj?”

Zemdlała z wrażenia; musieliśmy zaraz zejść do schronu. Z okien piwnicy widać było swastyki i grasujących po ulicach Ukraińców...

Irena Sandauer-Glanz: Powrót do Sambora. Pogrom w Lubieniu i w Samborze

Następnego dnia ruszyliśmy w drogę powrotną. Obie nałożyłyśmy chustki na głowę, żeby wyglądać „po wiejsku”. Ponieważ matka miała już

znajomości wśród chłopów, nawiązane po drodze do Lwowa, wstępowałyśmy tu i ówdzie na wypoczynek. Między innymi wstąpiłyśmy i do tego chłopca, który z takim przekonaniem twierdził, że „matka na pewno przedostanie się”, żeby mu pokazać, że wraca z córką.

Do Lubienia droga minęła w spokoju. W Lubieniu zatrzymałyśmy się na nocleg u Ehrlicha, a raczej u jego gospodarzy, Polaków, gdyż on sam wrócił do Sambora. Gospodarze przyjęli nas pod swój dach bez sprzeciwu. Wśród nocy zbudziła nas strzelanina, odgłosy frontu. Wraz z gospodarzami zeszliśmy do piwnicy sąsiadów, Ukraińców. Była ona pełna ukraińskich chłopów, którzy głośno modlili się o szybkie nadejście Niemców.

Nad ranem wszedł do domu niemiecki patrol. „Czy są tu Żydzi?” — brzmiało pierwsze pytanie Niemców. Powiedziano im, że Żydów nie ma. Gospodarz Ehrlicha radził nam odejść jak najszybciej. Ja nie miałam ochoty ruszać w drogę. Byłam bardzo zmęczona, ale matka nie ustąpiła. Musimy — już, zaraz — wyjść.

Opuściłyśmy Lubień. Tuż za miastem przepływała rzeka, na której most był zerwany. Leżała tam zwykła belka, po której spacerował sobie jakiś chłop i — pewnie pijany — głośno śpiewał. Belka chwiała się, bałyśmy się przejść. Ujrawszy nas, chłop zaproponował, że najpierw przeprowadzi mnie, a potem matkę. Matka nie zgodziła się. „Najpierw ja, a potem córka.”

Za przeprawę przez rzekę zapłaciłyśmy mydłem.

Ledwo stanęłyśmy na drugim brzegu, doszły nas od strony Lubienia straszne krzyki. Dopiero później dowiedziałyśmy się, że były to odgłosy pogromu: to Ukraińcy mordowali Żydów.

Tymczasem drogą nadciągało coraz więcej niemieckiego wojska, postanowiłyśmy więc zboczyć z głównej szosy i iść równoległą do niej polną dróżką pod lasem. Niewiele nam to pomogło. W pewnej chwili na szosie pojawiła się furmanka z niemieckimi żołnierzami. Niemcy zatrzymali konie, przywołali nas do siebie. „Juden?” — spytali z miejsca, a potem jeszcze, dokąd idziemy. Powiedziałyśmy prawdę, że do domu. Wtedy jeden z żołnierzy, młody chłopak, zeskoczył z fury, poprowadził nas pod przydrożne drzewo, kazał podnieść ręce do góry, a sam sięgnął po karabin. Ja osłupiałam. Ale matka nie straciła przytomności. Podeszła do Niemca i powiedziała: „Ty masz matkę? Jesteś bardzo młody i dopiero zaczynasz wojować. Zapewne chcesz cały i zdrowy wrócić do swojej matki. Ja przedostałam się do Lwowa, by córkę zabrać do domu, wracamy teraz do rodziny. W imię tego, żebyś ty mógł zobaczyć swoją rodzinę, swoją matkę, proszę cię, puść nas wolno.”

To nas uratowało. Niemiec uściśnął rękę matce, poradził nam też, żebyśmy szły dalej szosą, a nie dróżką pod lasem, gdyż to budzi podejrzenia. Ruszyliśmy więc dalej szosą. Zbliżając się do Rudek, zorientowałyśmy się, że główny wjazd do miasteczka zatarasowany jest wojskiem i autami. Poprosiliśmy napotkanego chłopą, żeby poprowadził nas bocznymi drogami do najbliższego żydowskiego domu. U tych nieznajomych Żydów spędziłyśmy noc. Była to biedna, liczna rodzina, mieszkająca w jednej izbie, w brudzie i nędzy. Nigdy przedtem nie widziałam takiej biedy. Niemniej przyjęli nas gościnnie, poczęstowali mlekiem i chlebem, posłali — na podłodze. Nocą wpadli do izby Ukraińcy i zabrali ojca rodziny, brodatego Żyda. Pewnie nie wrócił. Wczesnym rankiem odeszłyśmy stamtąd. W drodze przez miasteczko złapali nas Ukraińcy. Na szczęście chodziło im tylko o wymycie ciężarowego auta. Potem puścili nas wolno. Czym prędzej opuściliśmy Rudki.

Na szosie wiodącej do Sambora spotkałyśmy dwu chłopów, Polaków, których Rosjanie wzięli „na pod- wody”, a którzy teraz wracali do domu, do Przemyśla. Obiecałyśmy nocleg w Samborze i zapłatę, byleby się zgodzili nam towarzyszyć. W ich towarzystwie czułyśmy się bezpieczniej, raźniej. Nie przypuszczałyśmy jednak, że obecność chłopów uchroni nas od niechybnej zguby. Bo oto kiedyśmy doszły do wsi Koniuszki, wyszedł nam naprzeciw makabryczny pochód, banda chłopów z kosami i siekierami, z których dosłownie spływała krew. Szli śpiewając ukraińskie pieśni i złorzecząc Żydom. Natychmiast poznali, kim jesteśmy. „Ce Żydiwky?” „Co wy wygadujecie?” — oburzyli się towarzyszący nam chłopci. „Ce moja żinka” — rzekł starszy, wskazując na matkę. „A ce moja żinka — rzekł młodszy, wskazując na mnie. — Czego chcecie od naszych żon?”

Tuż przed Samborem spotkałyśmy żydowską rodzinę uciekającą furmanką na wieś. Od nich dowiedziałyśmy się, że w Samborze był pogrom. Ukraińcy zabrali kilkudziesięciu Żydów do uprzątnięcia trupów w miejskim więzieniu. Podczas pracy bili ich niemiłosiernie, a potem wymordowali wszystkich — co do jednego. Grupa chłopów, którą spotkałyśmy po drodze, wracała właśnie z pogromu.

Sambor. Judenrat. Pierwsze szykany

W Samborze zatrzymałyśmy się najpierw w pierwszym domu żydowskim przy ul. Lwowskiej, u rodziny Baumwollspinnerów. Ja tam zostałam, a matka poszła razem z chłopami do domu zobaczyć, co z ojcem i bratem. Ojca zastała w domu.

Mieszkanie nasze składało się z trzech pokoi, przy czym trzeci pokój, należący poprzednio do sąsiedzkiego mieszkania, miał drzwi pomalowane na

kolor ściany, a tym samym nie rzucające się w oczy. Na wieść o pogromie ojciec zastawił te drzwi szafą i ukrył się w trzecim pokoju. Brata pogrom zastał na mieście, schronił się u kolegi Ukraińca, Eliasza Bułyńskiego *. Ojciec, ujrawszy matkę samą, przekonany był, że ja nie żyję.

Chłopi, dzięki którym wymknęliśmy się Ukraińcom, przenocowali u nas i rano odeszli, obdarowani garderobą i rzeczami. Nazajutrz matka zaprzyjaźnionego z bratem Eliasza (Ilka) Bułyńskiego zaproponowała nam, żebyśmy na jakiś czas przenieśli się do jej domu. Skorzystaliśmy z tej propozycji i następne dwa tygodnie spędzaliśmy wszyscy w domu rodziny Bułyńskich.

Mój ojciec Adolf (Abraham) Sandauer miał wielu przyjaciół wśród Ukraińców i Polaków, dzięki temu pierwszy okres okupacji przeżyliśmy — bez powszechnej już wtedy — troski o żywność. Znajomi, przyjaciele i towarzysze ojca (ojciec był socjalistą) zaopatrywali nas w żywnościowe produkty, przynosili do domu mąkę, kaszę, ziemniaki. Posiłki gotowaliśmy w wielkim baniaku i dzieliliśmy się nimi z sąsiadami i przyjaciółmi. Oczywiście były one bardzo prymitywne, jadło się wtedy mieloną pszenicę, tarte ziemniaki, a chleb był rzadkim przysmakiem.

Kilka dni po wkroczeniu Niemców powstał w Samborze Judenrat. Ojcu zaproponowano, żeby został członkiem gminy. Odmówił. „Mam za czyste ręce, by je nurzać w błocie...”

Prezesem Judenratu został doktor Sch., jego zastępcą dr Z., a prezesem milicji żydowskiej — niejaki Herman S. Rozpoczęły się pierwsze szykany: nakładane kontrybucje, wymierzone godziny, w których wolno było Żydom czynić zakupy na Rynku, ulice, którymi wolno lub nie wolno chodzić, przy których wolno mieszkać. Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się, że jednym z urzędników Ukraińców, którzy zajmowali się ściąganiem kontrybucji, jest nikt inny jak Ilko Bułyński, do niedawna sympatyk komunizmu.

Wyłonił się też problem zaświadczeń pracy. Ojciec otrzymał pracę w fabryce maszyn do szycia (mieliśmy przed wojną hurtownię rowerów i maszyn rolniczych). Brat zaczął pracować jako urzędnik, ja — w nowo otwartym szpitalu żydowskim jako siostra. Szpital mieścił się w jednej z bóżnic i przepełniony był — już wówczas — ludźmi wyschniętymi z głodu i chorymi zakaźnie.

* Tu siostra się myli. Pogrom spędziłem w mieszkaniu na Rynku. P. Bułyńska pojawiła się dopiero po pogromie i dopiero wtedy zaprosiła mnie wraz z rodziną do siebie [A.S.].

Napad rabunkowy

Pewnej nocy zbudziło nas walenie do drzwi, któremu towarzyszyły wrzaski. Powtarzały się trzy słowa: „Handuhren”, „Gold”, „Geige”. Nie otwieraliśmy bramy, zastanawiając się, co począć. Matka zdecydowała: „Wy uciekajcie! Ja już sobie dam radę!” Wypchnęła nas z domu. Wyskoczyliśmy tylnym oknem i pobiegli do znajomych, u których przesiedzieliśmy — pełni niepokoju — całą noc. Skoro świt, ojciec i brat wrócili do domu. Zastali mieszkanie puste, splądrowane, огоłocone z rzeczy. Na pościeli (kiedyśmy uciekali, łóżka były już zaścielone) widniała czerwona strużka. W pierwszej chwili myśleliśmy, że to krew. Ale to była czerwona włóczka, z której robiłam sweter na drutach, a którą zostawiłam porzuconą na łóżku.

A oto co zaszło po naszej ucieczce. Niemcy dobijali się coraz gwałtowniej, grożąc, że jeśli nie otworzy się drzwi, zastrzelą domowników. Matka drzwi otworzyła. Wpadło kilku Niemców w mundurach i jeden Ukrainiec. „Gdzie mężczyźni?” „Nie ma ich w domu” — odpowiedziała matka. Odpowiedź ta podziałała na nich dziwnie uspokajająco. Niewiele mówiąc, zabrali się do rabowania. Był to bowiem napad rabunkowy — w dodatku pod fałszywym adresem. Jego ofiarami paść mieli nasi sąsiedzi — Fiedlerowie, bogata rodzina muzyków (krewni dyrygenta Artura Fiedlera). Stąd wzięły się niezrozumiałe dla nas wrzaski: „Gold” i „Geige”. Bandyci pomylili adresy, co nie przeszkodziło im w оголоczeniu naszego mieszkania ze wszystkich cenniejszych przedmiotów. Zabrali zegarki, biżuterię, bieliznę, resztki uratowanego ze sklepu towaru, jednym słowem, wszystko, co można było zamienić u chłopów na żywność.

Akcja sierpniowa (1942)

Do sierpnia 1942 odbyło się w Samborze kilka tzw. planowych akcji. Były to akcje na chorych, obłąkanych, starych. Pierwsza masowa akcja miała miejsce w sierpniu *. W chwili gdy się rozpoczęła, znajdowałam się w szpitalu: miałam nocny dyżur. Pamiętam dokładnie. Nagle ktoś wpadł z wieścią, że w mieście jest masa Niemców i ukraińskiej policji, że na coś się zanosi. Człowiek ten — nie przypominam sobie, kto to był — oświadczył wprost: „Kto może, niech ucieka — zarówno personel, jak chorzy.”

Do dziś nie wiem, jakie pobudki mną kierowały: czy nie wierzyłam, że się na coś zanosi, czy też sumienie mi nie pozwoliło opuszczać ciężko chorych; dość, że

* Tej właśnie akcji dotyczy moje opowiadanie *Noc praworządność (Śmierć liberala)* [A.S.].

zostałam w szpitalu z tymi, którzy nie mogli uciekać.

Nad ranem wpadli Niemcy. Weszli do sali, powystrzelali wszystkich chorych na łózkach, a mnie za to, że zostałam — jak się wyrazili — zabrali i dołączyli do akcji. złapanych. Stamtąd zaprowadzono nas na punkt zborny, który znajdował się na boisku „Korony”, obok dworca. Ludzi była tam masa, olbrzymi tłum, mnóstwo nie znajomych, koleżanek. Rozglądałam się gorączkowo za swoimi. Na szczęście, nie było ich. Od czasu do czasu Niemcy wywoływali jakieś nazwiska: były to osoby wyreklamowane czy wykupione przez rodziny, zakład pracy lub Judenrat. W pewnym momencie kazano nam oddać zegarki i kosztowności. Rzuciliśmy je na trawę i pamiętam (o czym to człowiek myśli w takich chwilach), że dziwiłam się, jak oni to później zbiorą. Potem zaczęto ustawiać nas w czwórki i grupami odprowadzać na dworzec, skąd dochodziły odgłosy przetaczania wagonów. Wtedy instynktownie postanowiłam cofać się tak, żeby znaleźć się w ostatniej grupie. Większość postępowała wręcz odwrotnie: pchali się naprzód. Jakaś kobieta, widząc, że siedzę spokojnie, tłumaczyła mi, że ci, którzy pojadą pierwszym pociągami, dostaną lepszą pracę. Wreszcie plac opustoszał, zostało nas zaledwie kilkadziesiąt osób.

Ledwie wyszliśmy za bramę boiska, okazało się, że Niemcy nie prowadzą nas w kierunku dworca. W dolnej części miasta, za Targowicą, stały baraki, dawne stajnie. Tam nas zapędzono i zamknięto. Baraki obstawiała ukraińska i żydowska policja. Zwracałam się kilkakrotnie do żydowskich milicjantów z prośbą, żeby pomogli mi uciec — naturalnie bezskutecznie. Poprosiłam jednego, żeby dał znać rodzicom, gdzie się znajduję; zapomniałam zupełnie, że akcja trwa nadal i że niebezpiecznie jest wskazywać jakiś adres żydowskiego domu. Na szczęście, nie spełnili mojej prośby. A akcja była w pełnym toku: zwożono teraz ludzi z okolic Sambora.

Nazajutrz rankiem Judenrat przysłał nam zupę. Ludzie rzucili się na kocioł, jak gdyby ta zupa mogła uratować im życie. Przystąpiłam do jednego z OD * , którzy przynieśli kocioł, niejakiego Zygi Sch., i spytałam, czy nie mógłby mnie wyprowadzić. Byłam w białym fartuchu, wyglądałam „służbowo”: to ułatwiło sprawę. Powiedział, że się boi. Mimo to przekradłam się z nim na zewnątrz. Nie zdając sobie sprawy, że akcja jest w pełnym toku, zaszłam najpierw do Judenratu po chleb, dopiero potem poszłam do domu. Była to widocznie jakaś spokojniejsza chwila, bo dotarłam bez przeszkód do domu. Matkę i ojca zastałam siedzących za szafą w trzecim pokoju. Mieszkanie było zamknięte od zewnątrz na kłódkę, przez cały czas nikt nie dobijał się do drzwi. Akcja trwała trzy dni i prowadzona była tak

* Ordnungsdienst — porządkowa milicja żydowska [A.S.].

perfidnie, że wiele osób (zwłaszcza z inteligencji) zgłaszało się dobrowolnie na wyjazd. Przychodzili z zapasem żywności, bielizny, z żonami, dziećmi. W wielu wypadkach Niemcy lub Judenrat wyreklamowywali potem mężczyzn, ale nie ich rodziny. Żony, dzieci zginęły. W akcji tej zginęło około 4000 Żydów.

Schron

Po tej akcji urządziliśmy w domu schron. Znajdował się w mieszkaniu sąsiadów, w piwnicy. Wchodziło się tam z pokoju przez ruchomą klapę w podłodze, zamaskowaną stojącą na niej skrzynią. Piwnica zbudowana była jeszcze przez mego dziadka i miała wyjście na podwórze.

Wczesną jesienią 1942 przeprowadziła się do nas rodzina z Turki: brat matki Wilhelm Welker z żoną i dwojgiem dzieci.

Akcja październikowa (1942)

Po pierwszej akcji zaczęliśmy szukać dróg ratunku. Przede wszystkim chciano m n i e gdzieś umieścić. Mój brat Artur miał rozmaite projekty; odrzucałam je jednak, nie chciałam ratować się sama — bez rodziny. A sprawa była prosta. Rodzice mieli wprawdzie wielu przyjaciół i znajomych, jednakże nikt z nich nie przejawiał zbytnej ochoty: tu sąsiad volksdeutsch, tam sąsiad Ukrainiec itd.

Akcja październikowa zastała nas nie zabezpieczonych kryjówką u aryjczyków. W chwili gdy się rozpoczęła, ojciec był przy pracy, brat krył się w zbożu *, wujostwo i ja — w naszym schronie, w piwnicy.

Wieczorem nastał spokój. Ojciec i brat wrócili do domu. Pamiętam, jak tego wieczoru matka prosiła ojca, by nie szedł nazajutrz do pracy i ukrył się na przedmieściu u znajomego kolejarza. Ale ojciec twierdził, że w fabryce jest najbezpieczniej, i opowiadał nam, jak to szef, Niemiec, chronił podczas akcji swych pracowników. Spaliśmy jeszcze, kiedy nazajutrz rankiem wyszedł z domu. Na mieście było spokojnie. Brat poszedł do kolegi Ukraińca, a matka pobiegła do znajomych, u których chciała mnie ukryć. Wychodząc powiedziała mi, że wstąpi potem do fabryki, do ojca, bo chce się naocznie przekonać, czy tam rzeczywiście bezpieczniej. Zdążyła jeszcze być u znajomych Polek — były to siostry,

* Tu siostra się myli. W październiku nie ma zboża. Miałem wtedy zapewnione schronienie u Ilka Bułyńskiego, który jednak w ostatniej chwili stchórzył i wyprosił mnie. Nazajutrz miałem po raz pierwszy znaleźć schronienie u Małankiewicza, co opisuję w innym rozdziale [A.S.].

nauczycielki — które dały jej jarzyny, kwiaty.

Z tymi jarzynami i kwiatami w koszyku poszła w kierunku fabryki. Stała na chwilę, rozglądając się, jak by tam dojść najkrótszą drogą, gdy nagle ujrzała ludzi biegnących z dzielnicy. Co się stało? „Zaczyna się akcja!” Spokój, jaki zapanował po wczorajszym dniu, był tylko przerwą, podobnie jak podczas pierwszej akcji, która z przerwami ciągnęła się przez trzy dni. Było już za późno, by biec do ojca. Matka postanowiła wracać do domu, do mnie. Tymczasem w domu sąsiedzi naglili, żeby zamknąć schron, a ja zwlekałam z zejściem do piwnicy, czekając na matkę. Nadbiegła w ostatniej chwili. „Wiesz — powiedziała — nie zdążyłam być u taty.”

Zeszliśmy do kryjóWKi i przesiedzieliśmy tam całą akcję. Po dwu dniach brat wypuścił nas ze schronu. Zaczęliśmy oczekiwać ojca. Nie wrócił.

Śmierć ojca w obozie janowskim

W momencie rozpoczęcia drugiej części akcji ojciec znajdował się w fabryce przy pracy. Na wieść o rozpoczęciu akcji dyrektor fabryki, Niemiec, kazał pracownikom opuścić warsztaty i zgromadzić się na strychu, gdzie oczywiście było bezpieczniej niż na dole. Po jakimś czasie ojciec mój opuścił strych, wrócił na salę fabryczną, chcąc prawdopodobnie zobaczyć, co się dzieje na ulicy. Podeszedł do okna. W tej chwili przechodził tamtędy Niemiec z ukraińskim policjantem nazwiskiem Rudyj. Rudyj znał ojca. Na jego widok wykrzyknął: „Ooo, Jude!” Obaj wpadli do fabryki i zabrali ojca. Nie pomogły łapówki, interwencje (podczas tej akcji nikogo nie zwolniono). Na dworcu, podczas selekcji, ojciec zorientował się, że segregują osobno młodych i starych. Podeszedł do Niemca (pisał nam o tym z obozu) i powiedział, że jest z zawodu mechanikiem i może się jeszcze przydać przy jakiejś pracy. Miał wówczas sześćdziesiąt lat. Niemiec skierował go do grupy młodych, którą wywieziono do obozu janowskiego we Lwowie. Transport ludzi starszych pojechał do Bełżca. Ojciec niedługo w obozie wytrzymał. Początkowo otrzymywaliśmy od niego kartki *, prosił o paczki, o cebulę. Potem kartki przestały przychodzić. Szczegóły śmierci ojca znamy od mego kolegi, Griinfeld, któremu udało się zbiec z janowskiego obozu (zginął później w getcie Samborskim). Ojciec zachorował na tyfus, nie przyznawał się jednak do choroby i wycieńczony, z wysoką gorączką, nadal pracował w warsztatach (DKW). Gestapowiec Gebauer zauważył podczas inspekcji, że ojciec jest chory, wywłókł go w pole i zatratował nogami.

* W jednej z tych kartek pisał: „Może Artur potrafi co pomóc?” Ale co ja mogłem? [A.S.].



1. Berta Sandauer z domu Welker, matka Autora



2. Abraham (Adolf) Sandauer, ojciec Autora



3. Adolf Sandauer, Berta Sandauer, stryj Herman Sandauer



4. Artur Sundauer w dzieciństwie



5. Artur Sandauer w dzieciństwie



6. Ratusz w Samborze (zdjęcie z 1890 roku)



7. Kościół farny w Samborze



8. Herb Sambora



9. Tzw. dworek myśliwski Stefana Batorego w Samborze



9. Tzw. Dworek myśliwski Stefana Batorego
w Samborze
10. Typowy dom przedmiejski w Samborze



11. Artur Sandauer z przyjaciółmi. Od lewej-Autor.
Wicek Zacharski. Stefa Finsterbusch. Zygo Malz (lata trzydzieste)



12. Józef Wójcik. uczeń Artura Sandauera
(zdjęcie z lat okupacji hitlerowskiej).

Pomoc ze strony Iwana i Marii Małankiewiczów

Przeżycia brata podczas akcji październikowej zdecydowały właściwie o naszym późniejszym losie. Mój brat Artur wyszedł z domu z zamiarem ukrycia się u swego przyjaciela Ilka Bułyńskiego, u którego siedzieliśmy przez dwa tygodnie po pierwszym pogromie. Zarówno on, jak i jego matka okazywali nam dotychczas dużo przyjaźni i serdeczności. Co prawda dziwiło nas niemile, że Bułyński pracował w starostwie przy ściąganiu kontrybucji z Żydów, ale w stosunku do brata był zawsze w porządku. Aż do tej akcji. Bo tym razem odmówił mu schronienia. I to w jasny dzień, kiedy akcja była w pełnym toku, oświadczył mu wprost: „Moja matka bardzo się denerwuje; musisz teraz odejść z naszego domu. Życie matki jest mi ważniejsze.”

Brat oczywiście natychmiast opuścił dom Bułyńskich. Nie wiedział, co począć, dokąd pójść. Błąkał się po ulicach miasta. Jego byli uczniowie (brat był za czasów radzieckich nauczycielem w gimnazjum), których spotykał, albo odwracali głowę, albo śmiali mu się prosto w twarz. W pewnej chwili nadszedł ulicą Józef Wójcik. Zatrzymał się. „Co pan profesor tu robi?” - spytał. „Widzisz, ścigają mnie, a ja nie mam gdzie się ukryć.” „Niech pan profesor tu zaczeka, pójdę do domu i spytam opiekuna, może zgodzi się pana przyjąć.” I pobiegł. Brat przekonany był, że to wykret, ale mimo to czekał. Po chwili nadbiegł zdyszany Wójcik i powiedział: „Niech pan profesor idzie za mną!”

W ten sposób brat poznał Iwana i Marię Małankiewiczów, opiekunów Wójcika, u których ukrywaliśmy się potem przez czternaście miesięcy. Kim byli ci ludzie, Iwan (Jean) i Maria Małankiewiczowie? Ukraińcy, pochodzili ze Spryni, wsi pod Samborem, ale przez wiele lat mieszkali we Francji, gdzie Małankiewicz pracował w kopalni jako górnik. Tam zaprzyjaźnili się z polską rodziną Wójcików. Wójcik zginął w katastrofie górniczej, Małankiewicz, ciężko ranny, leżał kilka lat nie-przytomny. Wójcikowa, otrzymawszy wysokie odszkodowanie, postanowiła wrócić do Polski i namówiła do powrotu także Małankiewiczową. Wrócili więc wszyscy razem, tzn. Wójcikowa z trojgiem dzieci: Józkiem, Jankiem i Cesią, oraz Małankiewiczowa z mężem inwalidą (nie miał nawet własnego paszportu, tylko dopisany był do paszportu żony jak dziecko) i z jedynym synem - Sławkiem. Po przyjeździe do Sambora Wójcikowa kupiła dom, Małankiewiczowa wynajęła mieszkanie i obie rodziny żyły nadal w wielkiej przyjaźni. Małankiewiczowa dostawała francuską rentę, a jej mąż powoli, powoli wracał do zdrowia. Był jednak nadal niezdolny do pracy, a stan jego nerwów pozostawiał wiele do życzenia. Po pewnym czasie Wójcikowa znalazła sobie przyjaciela — szubrawca, który się nad nią znęcał, aż w końcu zamęczył dosłownie na śmierć; umarła na skutek pobicia w okresie ciąży. Przed

śmiercią prosiła Małankiewiczową, żeby zaopiekowała się dziećmi, obiecała w zamian za to zapisać jej pół gospodarstwa. Małankiewiczowa przyrzekła opiekę, ale wynagrodzenia nie chciała: za dobry uczynek nie należy brać pieniędzy. W ten sposób Małankiewiczowie zostali opiekunami małych Wójcików, zawiadywali ich majątkiem i prowadzili gospodarstwo. Kiedy Józek przyleciał podczas akcji z zapytaniem, czy może przyprowadzić do domu swego profesora, Żyda, Małankiewicz spytał tylko: „A to dobry Żyd?” „Bardzo dobry” — odpowiedział chłopiec. „No, to niech przyjdzie.”

Kontakty z Małankiewiczami. Getto w Samborze

Po skończonej akcji brat wrócił do domu i oznajmił, że przygotował „teren”: Małankiewiczowie są skłonni pomóc naszej rodzinie. Nie wiedział, że ojca nie ma *...

I rzeczywiście od tego czasu dom Małankiewiczów służył nam zawsze za przejściowy schron w chwilach, gdy na mieście panował niepokój. Zdarzało się, że spędzaliśmy tam noc, dwie, a po pewnym czasie przenieśliśmy do Małankiewiczów wszystkie rzeczy nadające się do spieniężenia, resztki, które zostały po napadzie rabunkowym. Kryjówki u Małankiewiczów nie było na razie żadnej. Ich dom składał się z dwu mieszkań: w jednym mieszkała cała rodzina, drugie — bez okien i drzwi — służyło za magazyn zboża. Na podwórzu znajdowały się zabudowania gospodarskie: mała oficyna z piekarskim piecem, w której nocowali czasami krewni ze wsi, stajnia, ustęp, stodoła. Na strychu nad oficyną ukrywaliśmy się potem przez czternaście miesięcy w schronie zbudowanym przez Małankiewiczów

Ale do schronu u Małankiewiczów jeszcze daleko. Na razie jesteśmy w dzielnicy, która od 1 grudnia 1942 zmieniona zostaje w zamknięte ghetto. Utworzenie getta oznaczało dla nas przeprowadzkę, gdyż dom, w którym mieszkaliśmy, stał poza granicami getta. Zajmowało ono teren dawnego Blichu, a granicami jego były — z jednej strony rzeka Młynówka, z drugiej — cmentarz żydowski i pola uchodzące nad Dniestr. W sumie było to kilka ciasnych uliczek.

* Tu siostrę zawodzi pamięć. To ja przyniosłem do domu wiadomość o tym, że ojca zabrano. Pamiętam, jak Małankiewicz przyszedł do stodoły, gdzie byłem ukryty, i z ostrożnością operującego lancetem chirurga wyrzekł zdanie: „Twego ojca zabrano.” Jest w tym jakiś dziwny zbieg okoliczności, że w chwili, gdy straciłem jednego ojca, znalazłem drugiego, który miał mi dać życie po raz wtóry [A.S.].

W getcie przydzielono nam mieszkanie w drugim domu przed cmentarzem: była to rudera należąca dawniej do grabarza, niejakiego Jurka, Ukraińca, który obecnie zajął żydowskie mieszkanie w Rynku. Dostaliśmy pokój i kuchnię. W kuchni zamieszkała rodzina z Turki (cztery osoby) *, my w pokoju — w trójkę. Jako sąsiadów mieliśmy znaną w Samborze rodzinę włamywaczy i złodziei.

Do kwietnia 1943 panował w getcie względny spokój. Fakt ten skłonił ** niektórych już ukrytych po aryjskiej stronie do powrotu za druty (getto otoczone było kolczastym drutem).

Mój brat organizuje ruch oporu wśród młodzieży

Brat ani przez chwilę nie wątpił, że spokój panujący w getcie jest tylko pozorem.

Postanowił zorganizować i uzbroić żydowską młodzież, tak by w razie akcji zdolna była stawiać opór Niemcom. Do zorganizowanej przez niego grupy należeli przeważnie ludzie prości — tragarze, Woźnice, poza kilku uczniami brata nie było tam nikogo z inteligencji.

Na czym polegały przygotowania do oporu? Przede wszystkim na skupywaniu broni — z przeróżnych źródeł i różnymi sposobami — oraz na ćwiczeniach, które odbywały się wieczorami na cmentarzu. Broń — rewolwery i karabiny — przechowywał brat w domu, w naszej nowej kryjówce, w pomieszczeniu wykopanym przez nas własnoręcznie nocami, do którego wchodziło się przez ruchomą deskę podłogi pod łóżkiem. W getcie grasowała wówczas słynna „brygada Benesza”, składająca się z Niemców (cywilów) i z volksdeutscheów, którzy rabowali resztki dobytku żydowskiego. Pamiętam, brat siedział przy stole i czytał Szekspira (po angielsku). Broń leżała w kryjówce, wystarczyło natrafić na ruchomą deskę podłogi, głuchy dźwięk byłby wszystko zdradził.

— Studieren Sie weiter, Herr Professor — powiedział Benesz na odchodnym i poklepał brata po ramieniu. Po tym zajściu matka i wujek zaczęli molestować i prosić brata, żeby umieścił broń poza domem. Uległ ich prośbom i nocą, razem z kuzynem, wykopał jamę w polu, tuż za drutami, i schował w niej rewolwery. Karabiny umieścił w jednym z grobowców na cmentarzu. Kiedy po kilku dniach grupa zebrała się na ćwiczenia i brat poszedł po broń, okazało się, że rewolwery znikły. Późniejsze wypadki naprowadziły na ślad sprawcy.

* Niemcy dla usprawnienia likwidacji Żydów skupiali ich we większych miastach [A.S.]

** Tj. w myśl zamiaru Niemców miał skłonić [A.S.].

Akcja kwietniowa. Rzeź niemowląt

Akcja kwietniowa rozpoczęła się o piątej nad ranem. Ukryliśmy się — cała rodzina — w schronie pod podłogą. W pewnej chwili usłyszeliśmy nad sobą kroki. Niemcy byli w mieszkaniu. Gruz posypał się na nas, opukiwali podłogę dokładnie nad naszymi głowami... Słyszeliśmy głosy: „Da sind sie!”

Przez krótką chwilę podtrzymywaliśmy jeszcze sufit kryjówki, żeby zamaskować pustkę, potem, nagle, załało nas dzienne światło i zobaczyliśmy pochyloną nad otworem twarz Niemca z karabinem. Krzyczał: „He- raus!” Wyszliśmy. Obok Niemca stał milicjant. Byliśmy w nocnej bieliźnie, pozwolono więc nam coś narzucić na siebie (pamiętam, włożyłam płaszcz i pantofle, które dostałam tuż przed wojną, moje pierwsze na wysokim obcasie), po czym poprowadzono nas na zborny punkt, który znajdował się tuż obok, na cmentarzu.

Tam odbyła się likwidacja niemowląt. Niemcy kazali matkom położyć niemowlęta na środku placu, po czym rzucali nimi o mur i zabijali strzałami. Poza tym roz-strzelano kilkanaście osób w starszym wieku. Ja w przypływie rozpaczyny rzuciłam pantofle o mur, a moja matka powiedziała: „Co ty robisz? Nie bądź głupia! Jeszcze je będziesz kiedyś nosiła.”

Pod wieczór zaprowadzono nas — na oczach całego miasta — do miejskiego więzienia. Na podwórzu więziennym odbyła się selekcja: osobno mężczyźni, osobno kobiety, osobno starcy i dzieci. Brat przypadł do matki i do mnie, żeby pożegnać się „na zawsze”. Odprowadzono nas do cel więziennych. W strasznym tłoku, wśród jęków i płaczu przesiedzieliśmy dzień i noc. Od czasu do czasu przez okienko judasza zaglądali ukraińscy i żydowscy milicjanci. Od nich dowiedziałyśmy się, że junacy kopią jamy w lesie radłowskim (we wsi Radłowice pod Samborem). Po trzech dniach zwolniono szereg osób, wśród nich mego brata, który natychmiast rozpoczął starania o zwolnienie mnie i matki. Przede wszystkim chciano mnie wyciągnąć, ale kiedy wywołano moje imię i nazwisko, nie chciałam wyjść bez matki. Po kilku dniach udało się zwolnić całą naszą rodzinę (oprócz nas zwolniono wtedy szereg innych osób).*

* Rzecz w tym, że w akcji tej zabrano 913 osób, a Niemcy mieli w planie zabrać tylko 800, czyli połowę aktualnej ludności getta. Mieli więc 113 na zbyciu. Tej omyłce rachunkowej zawdzięczamy matka, siostra i ja — zbyciu. Tej omyłce rachunkowej zawdzięczamy matka, siostra i ja — życie. Wypuszczono nas jako nadliczbowych [A.S.].

Tych, którzy pozostali w więzieniu, rozstrzelano w lesie radłowskim. M.in. zginął wówczas nasz przyjaciel, dr Geldwert, którego Gestapo aresztowało na kilka tygodni przed akcją pod zarzutem uśmiercenia gestapowca Wustnera, fachowca od spraw żydowskich w Samborze. Do tego Wustnera wezwano Geldwerta jako lekarza. W rzeczywistości sprawa wyglądała następująco: Wustner był morfinistą i pewnego razu wybiegł na miasto w bieleżnię, złorzecząc głośno Hitlerowi. Gestapo wezwało wówczas dwóch lekarzy żydowskich: Geldwert był jednym z nich (nazwiska drugiego nie pamiętam). W drodze do Gestapo wstąpił do nas pożegnać się. Miał złe przeczucie i gdyby nie nacisk Judenratu, byłby zrezygnował z tej „wizyty”. Kiedy obaj lekarze stawili się u „chorego”, Wustner już nie żył, sprzątnęli go jego koledzy. Lekarzy-Żydów aresztowano i dołączono potem do kwietniowej akcji.

Skok na Judenrat

Po tej akcji brat rozpoczął gwałtowne starania o broń dla swojej grupy. Nie była to sprawa łatwa, gdyż ani brat, ani członkowie organizacji nie posiadali pieniędzy. Otóż kiedy nadarzyła się okazja kupienia dziesięciu karabinów (od jakiegoś Polaka), brat zwrócił się do kasjera Judenratu, niejakiego Beckera, z następującą propozycją: w zamian za wydanie kasy Judenratu włączy do grupy dwóch synów Beckera i tym samym umożliwi im przedostanie się w lasy, do partyzantki, taki bowiem plan miała grupa. Becker nie zgodził się, tłumaczył, że pieniądze gminy należą do Niemców. Pozostała więc bratu i jego współnikom jedna droga: obrabować kasę. Nocą zakradli się do gminy. Kasa była pusta, pieniądze prawdopodobnie ukrył Becker, spodziewając się napadu. Wobec tego chłopcy postanowili zabrać trzy maszyny do pisania, które brat zaniósł nocą do Małankiewicza, prosząc go, by oddał je niejakiemu Wychowańskiemu, który miał je z kolei zawieźć do Lwowa i tam sprzedać. Nazajutrz wybuchła awantura. Judenrat domyślił się natychmiast, kto jest sprawcą kradzieży. Zażądano zwrotu maszyn albo pieniędzy. Brat odpowiedział, że maszyn nie odda, a pieniędzy nie posiada, i spytał judenratowców: „Jak długo zamierzacie jeszcze pisać na tych maszynach?” W odpowiedzi zagrożono mu wydaniem w ręce Gestapo. Po tym incydencie brat musiał na jakiś czas zniknąć z getta. Judenratowcy nachodzili nas, grozili, żądali wydania brata i nie wiadomo, jak byłaby się ta historia skończyła, gdyby nie to, że Wychowański — zamiast zawieźć maszyny do Lwowa — wystawił je w oknie swego sklepu. Judenrat je wykupił, a po pewnym czasie, gdy zapomniano już o całej sprawie, brat wrócił do getta.

Z okresu po akcji kwietniowej pamiętam jeszcze następujące wydarzenie. Podczas jednego z niespokojnych dni siedziałyśmy z matką u Małankiewiczów, kiedy nagle zjawił się u nich Niemiec, Gustaw Matzner,

adorator siostry Małankiewiczowej, Różki. Matzner przyszedł usprawiedliwić się, że wieczorem będzie zajęty, ponieważ mają apel i prawdopodobnie coś się szykuje. Postanowiłam czym prędzej zawiadomić Judenrat o grożącym niebezpieczeństwie. Ledwie doczekałam nocy. Gdy zapadł zmrok, przekazałam tę wieść ludziom mieszkającym na granicy getta i prosiłam ich, by zawiadomili gminę. Okazało się jednak, że tym razem chodzi o Rosjan (tych, którzy nie uciekli w 1941 roku), a nie o Żydów. Kiedy po kilku dniach wróciliśmy do domu, zostałam wezwana do Judenratu. Zarzucono mi, że rozsiewam panikę. Nie obeszło się też bez pogróżki, że „następnym razem oddamy panią na Gestapo”.

Pragnę zaznaczyć, że podczas naszego pobytu w getcie Małankiewiczowie zaopatrywali nas w żywność, przynosili ją nam, przekradając się nocami przez druty, za co, jak wiadomo, groziły najsurowsze kary, do kary śmierci włącznie.

Akcja w maju 1943. Daremna próba ucieczki przez kanały

Od czasu ostatniej akcji nie mogliśmy już liczyć na naszą kryjówkę, była spalona, znali ją Niemcy i milicja żydowska. Zdradził ją prawdopodobnie właściciel domu, w którym mieszkaliśmy, ów Jurek, Ukraińiec, który mieszkał obecnie w wielkim pożydowskim mieszkaniu w Rynku, ale tęsknił za swoim prawdziwym domem do tego stopnia, że co wieczór zachodził pod druty, by popatrzeć i skontrolować, co też ci Żydzi robią w jego mieszkaniu. Zaglądał przez okna, węszył. To on przypuszczałnie zauważył, że budujemy schrony, wynosimy wiadra z ziemią — i doniósł Niemcom. Prawdopodobnie ukradł też ukrytą przez brata w polu broń.

Podczas następnej akcji, w maju, ukryliśmy się z matką w schronie mego kolegi, Ginsburga. Brat wyszedł z domu, nie mówiąc nam nic o swoich zamiarach. Do kryjówki Ginsburgów wchodziło się przez piekarski piec, z którego prowadził podkop pod ziemię. Zastałyśmy tam sporo osób, a ponieważ stary Ginsburg miał astmę i siedział przez cały czas w kominie, schron pozbawiony był dopływu świeżego powietrza. W pewnej chwili poczułam, że się duszę, brakło mi tchu, straciłam przytomność. Matka zaczęła płakać, zaalarmowała właścicieli schronu i wyniosła mnie na rękach do komina. Tam przyszłam do siebie.

Kiedy zapanował spokój, wróciliśmy do domu. Mieszkanie wyglądało jak pobojuwisko, podarta pościel, porozrzućane meble, garnki. Brata nie było. Matka rozpacziała. Następnego dnia przyprowadzono go do domu. Wyglądał strasznie: unurzany w kale, mokry. Na policzku miał czerwony znak szminki. Plan wydo-stania się przez kanały na aryjską stronę (plan, o którym nie miałyśmy pojęcia) nie powiódł się. Niemcy obstawili

włoży. Brat ukrył się w jednym z bocznych kanałów i przetrwał tam całą akcję (pisze o tym w *Zapiskach z martwego miasta*).

Likwidacja getta (czerwiec 1943)

Po tej akcji zostało w getcie wszystkiego kilkaset osób. Miałymy już przygotowane miejsce u Małankiewiczów, pakowałyśmy rzeczy i z dnia na dzień odkładałyśmy termin opuszczenia getta. Dlaczego? Wydaje mi się, że powodem tego była obawa przed definitywnym zamknięciem (tak jak gdybyśmy w getcie nie były zamknięte...), przed utratą kontaktu z ludźmi. Dość, że mimo alarmującej sytuacji nie spieszyłyśmy się z wyjściem i czekałyśmy na wiadomość z Judenratu, który miał zasięgnąć języka u Niemców i dowiedzieć się, kiedy getto zostanie zlikwidowane. Poza tym brat matki, który po śmierci ojca opiekował się nami, uważał, że Małankiewicz jest człowiekiem, któremu ze względu na stan jego nerwów nie należy ufać. I tak doczekaliśmy ostatniej, likwidacyjnej akcji. Pewnego wieczoru — było to w czerwcu — ogłoszono, że zastępca prezesa Judenratu, dr Zausmer, wygłosi publiczne przemówienie. Pełni napięcia czekaliśmy, co powie. Przemówienie Zausmera było pełne optymizmu. „Łącznicy Judenratu wrócili właśnie z Drohobycza, z Gestapo — powiedział. — Zawieźli tam złoto, brylanty, futra i skórę. W zamian za to otrzymali zapewnienie, że grupa ludzi znajdujących się w getcie zostanie przy życiu i będzie pracowała dla Niemców, nie tylko ramię przy ramieniu, ale serce przy sercu...”

Większość uwierzyła tym paradoksalnie brzmiącym słowom, uwierzyła, bo chciała wierzyć. W getcie zapanowało odprężenie i tej nocy po raz pierwszy od długiego czasu rozebrałyśmy się do snu. Natomiast mój brat powiedział: „Róbcie, jak chcecie, ja wychodzę z getta.” I poszedł. Okazało się później, że w chwili gdy Zausmer przemawiał, wszyscy członkowie Judenratu wysłali już byli swoje rodziny poza getto, sami licząc na to, że Niemcy ich oszczędzą i wyślą do „dachówczarni” w Drohobyczu. Pomylili się, zginęli wszyscy.

Wśród nocy zbudził nas sąsiad, pan Warsztacki, uciekinier z Łodzi, który mieszkał w pierwszym domu przy cmentarzu: „Zaczyna się akcja, getto obstawione.”

Wyskoczyłyśmy z łóżek (znów jak niegdyś w koszulach tylko i bucikach), chciałyśmy biec do Małankiewiczów. Było za późno. Dookoła drutów stali Niemcy i obserwując panikę wewnątrz getta czekali sygnału rozpoczęcia akcji. Widząc naszą rozpacz Warsztacki powiedział: „Chodźcie do naszej kryjówki, ale już, bo zamykam.”

Wraz z nami poszła ciotka z dwojgiem dzieci. Wuj nocował tej nocy poza gettem. Warsztacki zaprowadził nas do stojącego na podwórzu drewnianego ustępu. Pod ustępem był podkop, przez który schodziło się po drabinie do jamy kloacznej. W jamie było już kilkanaście osób, w tym dwoje staruszków i małe dzieci. Siedzieliśmy tam przez kilka dni bez wody, bez jedzenia. Z zewnątrz dochodziły nawoływania: „Juden heraus!” albo: „Judenfrei!” Którejś nocy ktoś przekradł się do mieszkania po wodę. W kuchni leżał trup młodej kobiety (sparaliżowana nie mogła zejść do schronu), na blacie stał garnek z rosółem. Rosół (oczywiście kwaśny) rozdzielono pomiędzy dzieci, a mnie i matce pozwolono zanurzyć palec i zwilżyć usta. Czwartej nocy nawoływania umilkły, nastąpiła kompletna cisza. Oznaczało to, że getto w Samborze przestało istnieć. Zaczęliśmy wraz z matką pertraktacje z właścicielem kryjówki, żeby nas wypuścił, zgodziliśmy się zabrać ze sobą młodych i chętnych do ucieczki. Nie chciał o tym słyszeć, podobnie zresztą jak wszyscy inni. „Co wy sobie wyobrażacie — mówiono nam. — A jak was złapią i zażądają wydania schronu?”

Tłumaczyliśmy, że pozostanie w jamie kloacznej oznacza śmierć, a wyjście daje jakąś szansę ratunku. Na próżno. Męczyłam Warsztackiego noc po nocy. Wreszcie szóstej nocy pozwolił nam opuścić kryjówkę. Musiałyśmy przysiąc, że jeśli nas złapią, będziemy milczały.

Ucieczka do Małankiewiczów

Ciotka z dziećmi została. Przekradliśmy się na czworakach przez druty obok muru cmentarnego. Getto było nadal obstawione, co kilka metrów stał Niemiec z karabinem. Po niebie przesuwaly się reflektory, co jakiś czas padał pojedynczy strzał. Poczłogałyśmy się wzdłuż muru — nie przez cmentarz — za którym rosło wysokie zboże. Po pewnym czasie znalazłyśmy się w szczerym polu. Była głęboka noc, gdzieś około trzeciej, księżyc w pełni. Nie miałam pojęcia, gdzie jesteśmy, straciłam orientację, zdawało mi się, że zamiast oddalać się, kręcimy się dookoła cmentarza. Matce brakło sił, padała na ziemię. Prosiła, żebym ją zostawiła i szła dalej sama. Nagle ujrzałam w dali komin rafinerii nafty przy ulicy Drohobyckiej. To dodało mi otuchy. Małankiewiczowie mieszkali niedaleko stamtąd w jednej z bocznych uliczek, która nazywała się „Na Obszary”. Poszliśmy polami w tamtym kierunku. Nad ranem stanęliśmy przy bramie gospodarstwa Małankiewiczów. Brama była otwarta, u sąsiadów grało już radio. Weszliśmy do stajni (w oficynie mogli nocować krewni ze wsi) i usiadliśmy obok krowy. Gospodyni, która weszła tam na ranny udój, ujrzawszy nas, zemdlała. Nie spodziewała się, że żyjemy. Brat — powiedziała nam — jest u nich w oficynie. Spotkania z bratem nie muszą chyba opisywać...

Małankiewiczowie umieścili nas początkowo w stogu siana, a Jan Małankiewicz zabrał się natychmiast do budowy schronu.

Schron na strychu

Wspomniałam już, że na podwórzu stały zabudowania gospodarskie, składające się z oficyny, stajni, ustępów i stodoły. Nad oficyną, stajnią i ustępami był strych. Małankiewicz zamknął strych nad oficyną murowaną ścianką, która odgradzała od reszty strychu. W ten sposób powstało zamknięte pomieszczenie, nasz schron.

Ściankę postawił Małankiewicz w jasny dzień, nie kryjąc się przed sąsiadami zwoził cegły. Śpiewał przy tym na cały głos, że naprawia piekarski piec w oficynie. Nim zapadł wieczór, ścianka była gotowa. Posiadała ona cztery cegły ruchome. Reszta strychu założona była sianem. Następnej nocy przeniesliśmy się do nowej kryjówki. Miała ona formę stożka, jedną ścianę ukośną, drugą prostą, można tam było tylko siedzieć albo leżeć. Ale leżeliśmy wygodnie, bo na słomie i własnej pościeli, którą zdążyliśmy przedtem wytransportować z getta. Mieliliśmy poduszki i jedną pierzynę.

Podczas pierwszych dni w nowej kryjówce dobiegały nas echa likwidacji Żydów, warkot ciężarowych aut jadących ulicą Drohobycką, krzyki i płacze Żydów, wywożonych na stracenie do lasu radłowskiego. Słyszeliśmy komentarze sąsiadów, przeważnie cieszących się i opowiadających sobie przeróżne historie na ten temat. A nasz gospodarz kręcił się po podwórzu i ku uciesze sąsiadów głośno śpiewał: „Hitleruńciu, szczo byś ty zdorow buł, szczo ty tych Żydiw wyrizał...”

W domu Małankiewiczów prawie zawsze kwaterowali Niemcy, którzy zalecali się do Rózi i Małankiewiczowej. Były więc trudności z podawaniem nam jedzenia. Drobne posiłki — chleb, mleko, wodę — wsuwano nam przez szparę wprost z podwórza: gospodarz stawał na pniu do rąbania drzewa i osłonięty płotem i dasz-kiem, wsuwał z zewnątrz płaską manierkę. Obiady przynosiła gospodyni w porze południowego udoju w baniaku z pokarmem dla krów. Pamiętam, jak pewnego razu stacjonujący tam Niemiec poszedł z nią do stajni, by napić się świeżego mleka. Małankiewiczowa nie wiedziała, co począć, nie mogła nakarmić krów, bo w baniaku pod łupami ukryty był nasz obiad. Wtedy Małankiewicz, który miał oczy i uszy na wszystko otwarte, poleciał za nimi, chwycił miskę z sieczką i zaczął krzyczeć na żonę: „A mówiłem ci, żebyś nie dawała krowom łup, tylko sieczkę!”

I rozwścieczony wyrwał jej baniak z ręki. Takie drobne na pozór, lecz niebezpieczne wydarzenia często miały miejsce. Małankiewicz przez cały czas naszego pobytu u nich nie ruszył się z miejsca na krok. Zawsze był w pogotowiu, na straży. Po jakimś czasie urządzono w domu gospodarzy magazyn wojskowy (w pustym mieszkaniu, o którym poprzednio wspomniałam). Miało to złe i dobre strony. Gospodarstwo zaroilo się od żołnierzy, którzy przychodzili po przydziały, musieliśmy więc zdwoić ostrożność. Z drugiej strony Małankiewiczowie mieli teraz więcej żywności i

mogli nas lepiej karmić. W przypiływie humoru Małankiewicz przyniósł nam raz ajerkoniak, biszkopty i żółty ser.

Tryb życia w kryjówce

Schron opuszczaliśmy rzadko. Od czasu do czasu schodziliśmy do stajni, żeby się umyć w kuble. Potrzeby fizjologiczne załatwiał się na miejscu, a kubeł wylewaliśmy nocą do stajni. W schronie latem panował nieznosny upał (dach był z gontów), a zimą dokuczliwy mróz. Podczas opadów śnieżnych było w kryjówce całkiem ciemno, bo śnieg leżący na dachu zakrywał wszystkie szczeliny. Za pomocą pięćdziesięciogroszówki podnieśliśmy jedną dachówkę i w ten sposób zdobyliśmy trochę światła. To było bardzo ważne, bo mogliśmy czytać, a książek na szczęście nie brakło. Mielśmy do dyspozycji bibliotekę hr. Bnińskiego, który w 1939 roku uciekł przed Rosjanami i wszystkie swoje książki oddał na przechowanie służącej, która była siostrą Małankiewiczowej. Przeniosła ona bibliotekę do szwagra i tym sposobem przez cały czas pobytu w schronie zaopatrzeni byliśmy w lekturę (i to dobrą). Poza tym graliśmy w inteligencję, brat grał z gospodarzem w karty i w szachy... Cierpieliśmy okropnie z powodu pcheł, zżerały nas żywcem, a na domiar wszystkiego dostaliśmy świerzbu, i to w bardzo silnej formie. Ponieważ lekarstwa nie można było dostać bez recepty lekarza, Małankiewicz poświęcił się, posiedział z nami, zaraził się, dostał świerzbu i... receptę na maść. (A cała rodzina przeżywała go wówczas „parszywy Żyd”). Było to naprawdę wzruszające poświęcenie.

Ale bywały też dni chude, kiedy nie dostawaliśmy jedzenia, a to dlatego, że zabrakło w danym momencie żywności, a to z powodu „humorów” naszego gospodarza, bardzo kapryśnego, jeśli chodzi o nastroje. Wystarczyło, że — przez nieuwagę brata — przegrał w karty lub w szachy, już był obrażony. Poza tym droczył się z nami, lubił nas straszyć. Gazety przynosił nam tylko wtedy, kiedy były w nich wiadomości o zwycięstwach Niemców. W momencie gdy Niemcy zaczęli się cofać, gazety znikły. Pojawiły się natomiast karteczki -biuletyny w rodzaju „Stalin się odmówił” (czyli zdymisjonował) lub „Hitler w Moskwie”...

Pamiętam też taką historię: na wiosnę wypuszczono ze stajni i chlewu całą chudobę. Konie, krowy, świny, kozy biegały po podwórzu, a Małankiewicz chodził i podśpiewywał: „Tylko jednej chudoby wypuścić nie mogę...”

Po pewnym czasie Małankiewicz napomknął raz i drugi, że brat będzie musiał odejść, gdyż są coraz większe trudności z wyżywieniem trzech osób. Brat powiedział, że owszem, odejdzie, ale pod warunkiem, że gospodarz wystara się mu o rewolwer. Pewnego dnia w szparze, przez którą wsuwano jedzenie, pojawił się rewolwer. Brat pewny, że to Małankiewicz go wsunął, zabrał broń i — z

nudów — rozłożył ją na drobne części. Po jakimś czasie w szparze pojawiła się ręka Janka Wójcika, przybranego syna gospodarzy. Janek szukał rewolweru. Słyszeliśmy, jak powiedział: „Będę musiał wejść na górę i poszukać.” Struchleliśmy, bo Janek, jedyny z czworga dzieci, nie wiedział o nas. Brat w ciągu paru minut — cudem jakimś — złożył rewolwer i dosłownie włożył go Jankowi do ręki. Okazało się, że Janek pożyczył ten rewolwer od znajomego Niemca i bojąc się opiekuna ukrył w szparze na strychu. Niewiele brakowało, a byłby wszedł na górę i zobaczył, że część strychu jest zamurowana. Reszta dzieci wiedziała o naszym istnieniu, a prawdziwy syn Małankiewiczów, Sławko, nieraz przepowiadał: „Będziemy jeszcze przez nich wisieć.” Nie mieliśmy do niego zaufania, baliśmy się go. Janek i Józek opuścili wkrótce dom, jeden wyjechał na roboty do Niemiec, drugi wstąpił do dywizji Hałyczyna * (co w pewnym stopniu „kryło” Małankiewiczów).

Dlaczego Małankiewicz chciał bratu wymówić schron? Ponieważ brat nie zarabiał, podczas gdy matka i ja zarabiałymy na utrzymanie (przez krótki okres czasu co prawda). Nasze pieniądze szybko stopniały, zostaliśmy bez środków do życia. Pomógł nam przypadek. Zrobiłam raz gospodyni rękawiczki ze starej wełny, potem wysoką modną czapkę, która wzbudziła ogólną zazdrość wśród sąsiadek. Wtedy Małankiewiczowa wpadła na następujący pomysł: będzie sprzedawać czapki „własnej roboty”. Nauczyła się kilku ściągów, na stole w pokoju zawsze leżały druty i wełna. A że nie chciała pokazać, jak się te czapki robi, nie dziwiło nikogo: bała się konkurencji. Tymczasem matka i ja fabrykowałyśmy czapki, swetry, rękawiczki. A żeby zdobyć wełnę, gospodyni ostrzygła na początek psa i króliki, potem, kiedy interes nabrał rozmachu, kobiety znosiły stare wełniane rzeczy do przeróbki. Oczywiście była to praca sezonowa, z nastaniem wiosny zarobki się skończyły. Po kilku miesiącach (latem 1944) brat wpadł na pomysł, który przyniósł Małankiewiczom materialną korzyść. Skomunikował się ze swym kolegą Konstantym Konstantynowiczem (obecnie adwokat w Samborze), który pracował w nadleśnictwie i nie miał w ogóle pojęcia, co się z nami dzieje. W liście, który zaniósła Małankiewiczowa, brat napisał, że ukrywa się w lesie, a to, że przetrwał dotychczas, zawdzięcza rodzinie oddawczym listu. Prosił, żeby Konstantynowicz w miarę swych możliwości pomógł tej kobiecie. Rzeczywiście, Konstantynowicz załatwił Małankiewiczom pastwisko i kilka razy przysłał im furę siana.

* Chodzi prawdopodobnie o dywizję SS-Galizien. w której składzie znajdowali się Ukraińcy [przyp. red.].

Małankiewicz dożywia ukrywających się w sąsiedztwie Żydów

Mimo trudnych warunków materialnych — nie mówiąc już o wiecznym napięciu, w jakim żyli — Małankiewiczowie pomogli też moim znajomym, którzy ukrywali się w piwnicy sąsiedniego domu bez wiedzy gospodarza. Dowiedziałam się o nich przypadkiem. Okazało się, że ludzie ci żywili się początkowo kartoflami, które znaleźli w piwnicy, potem zdani byli na łaskę okolicznych gospodarzy, do których wykradali się nocami. Dowiedziawszy się o tym, Małankiewicz zanosił im przez jakiś czas żywność.

Ukrainiec Jarema dotrzymuje tajemnicy

Jesienią zaszedł wypadek, który gospodarzy i nas kosztował wiele nerwów. W okresie młocki pracował u Małankiewiczów niejaki Jarema, Ukrainiec, wielki biedak. Pewnego razu Jarema szukając gospodarza, który miał mu wręczyć zapłatę, włożył niespodziewanie na strych, a że cegły były akurat odsunięte, wsunął głowę przez otwór i zobaczył nas. On powiedział „przepraszam” i my powiedzieliśmy „przepraszam”, po czym Jarema znikł. Małankiewicz widząc go schodzącego ze strychu natychmiast zorientował się, co zaszło, i wytłumaczył Jaremie, że „to są Żydzi z lasu”, których przyjął do siebie na jeden dzień. „Nie bój się — odpowiedział Jarema. — Mnie to nie obchodzi, a zresztą dlaczego nie masz im pomóc?”

Odpowiedź ta nie uspokoiła gospodarza. Dał Jaremie zboże, kartofle, ubrania, a nas wytransportował nocą w pole do kopca z kartoflami i nazajutrz pokazał Jaremie, że schron jest pusty (musiał przedtem oczyścić stryszek, wynieść pościel, książki, usunąć ślady zdomowienia). Niemniej przez długi czas baliśmy się, że Jarema nas wyda. Afisze rozlepione na mieście głosiły, że za każdą żydowską głowę Niemcy płacą po 5000 marek, plus 5 kg cukru i 5 litrów wódki. A Jarema był biedny...

Nie wydał nas. Po wyzwoleniu pierwszą wizytę brat złożył Jaremie, który pracował wtedy w magazynie kolejowym. Przyniósł mu w rewanżu jakiś podarunek. Jarema odmówił przyjęcia czegokolwiek. Co więcej, to on nam przysłał w prezencie worek mąki... Niestety, Jarema nie żyje, przejechał go pociąg.

Wkroczenie Rosjan. Powrót Niemców. Śmierć kilkudziesięciu Żydów.

Było lato 1944 roku. Zbliżał się front, z dnia na dzień oczekiwaliśmy wkroczenia radzieckiej armii. Wreszcie pewnego sierpniowego poranka wszedł od nas Małankiewicz i powiedział: „Schodźcie na dół. Wasi przyszli.”

Nieprzytomni z radości zeszlśmy do oficyny. Gospodyni przyniosła jakieś suknie dla matki i dla mnie, a brat cały ranek usiłował zgolić swój bujny zarost (nie golił się przez czternaście miesięcy). Wszystko to odbywało się przy akompaniamencie strzałów, które nas nieco niepokoiły, tłumaczyliśmy sobie jednak, że to odgłosy posuwającego się naprzód rosyjskiego frontu. Brat co chwila podbiegał do okna, wypatrując pierwszych radzieckich żołnierzy. Zjawili się w południe i mówili jakimś dziwnym językiem, którego początkowo nie mogliśmy rozszyfrować. Oni pewnie z Kaukazu, stwierdziliśmy zgodnie. Byliśmy tak bardzo oszołomieni, tak całkowicie nastawieni na to, że pierwsi żołnierze, jakich ujrzymy, będą mówić po rosyjsku, że... nie poznaliśmy Niemców i niemieckiego języka. Dopiero krzyk: „Sind hier Russen oder Juden?“, uświadomił nam, kim są. Ogarnęła nas panika. Jedyne Małankiewiczowa nie straciła przytomności: wybiegła do stojących u bramy Niemców z kubłem mleka i wódką, rzuciła im się na szyję i zawołała z radością: „Jakie do szczęście, że nie zostawiliście nas na pastwę Rosjan! Chwała Bogu, że jesteście z nami!”

Niemcy napili się mleka i wódki i na podwórze nie weszli. Po ich odejściu gospodarz wpakował nas z powrotem na strych, zarzucił stodołę polanami drzewa, słusznie przewidując, że podczas strzelaniny będziemy musieli zejść na dół (drzewo tarasowało wejście do stodoły), przyniósł nam wiadro wody i jabłek. Myślał więc o wszystkim, ale był u kresu sił, załamał się nerwowo: „Mam tego dość, zostawiam was, uciekam na wieś.” Zabrał dzieci, krowę, konie i wyjechał. Incydent z Niemcami był przysłowiową ostatnią kropką... Małankiewiczowa natomiast została w domu, ale skryła się razem z sąsiadami w piwnicy i przez dwa tygodnie nie mieliśmy z nią żadnych kontaktów. (Nie pamiętam, kiedy to było, czy wtedy gdy Jarema odkrył schron, czy też podczas powrotu Niemców — Małankiewiczowa posiwała przez jedną noc.)

Front rozgorzał na dobre. Stał nad Dniestrem, czyli w pobliżu nas, dzień i noc trwały walki, waliły katiusze. Dla nas była to cudowna muzyka i każda chwila ciszy przejmowała nas niepokojem. „To pewnie «szufladka», jak w Stanisławowie — mówił brat — marnie zginiemy...”

Jak się później okazało, była to rzeczywiście „szufladka”. Rosjanie byli już w mieście i wielu Żydów opuściło kryjówki. Po kilku godzinach weszli znów Niemcy. Zastrzelili wtedy wszystkich Żydów, którzy przedwcześnie wyszli ze schronów (w wielu wypadkach pomogły donosy miejscowej ludności). My przez dwa, trzy tygodnie nie ruszaliśmy się ze strychu, względnie ze stodoły. Kiedy Rosjanie po raz drugi weszli do Sambora, Małankiewiczowa wyprawiła nas wczesnym rankiem do miasta. „Idźcie już, a nuż Niemcy znów wrócą...” I ona była u kresu sił.

Po wyzwoleniu

Byliśmy więc wolni i teraz nagle zaroilo się wokół nas od przyjaciół skorych do pomocy. Dostaliśmy mieszkanie, bratu z miejsca zaproponowano kilka wysokich stanowisk w szkolnictwie. Nie przyjął żadnego, wyjechał do Lwowa, a stamtąd po upływie krótkiego czasu do Lublina: Związek Literatów Polskich dowiedziawszy się, że brat żyje, wysłał po niego samolot. W Lublinie brat wstąpił do kościuszkowskiej armii. Ja z matką zostałam na razie w Samborze. Przyjęłam posadę sekretarki, matka pracowała jako kierowniczką stołówki. Z Małankiewiczową nie utrzymywałyśmy żadnego kontaktu, odniosłyśmy wrażenie, że nie życzy sobie tego ze względu na sąsiadów. Po kilku tygodniach zjawił się u nas Małankiewicz, który dopiero teraz wrócił ze wsi. Dowiedziawszy się, że mieszkamy osobno, natychmiast przybiegł i zaczął prosić, żebyśmy wróciły i zamieszkały z nimi. Odmówiliśmy, nie chcieliśmy ich narażać. Zresztą wkrótce opuściliśmy Sambor. Ja wyjechałam do Lwowa na studia, matka przeniosła się do Stryja, gdzie odnalazła krewnych.

We Lwowie zapisałam się na drugi rok medycyny. Dokumenty i odpisy egzaminów z pierwszego roku odnalazłam w klasztorze Bernardynów. Okazało się, że (po wkroczeniu Niemców) niejaki ksiądz Syrutynski uratował wszystkie dokumenty znajdujące się w dziekanacie i przechował je w piwnicach klasztoru. We Lwowie studiowałam dwa lata, w 1946 roku wyjechałyśmy z matką do Polski. Studia ukończyłam w Łodzi. W 1950 wyjechałam z matką do Izraela.

Powojenne losy Małankiewiczów

Będąc w Polsce niejednokrotnie próbowaliśmy nawiązać z Małankiewiczami listowny kontakt. Na próżno. Po naszym wyjeździe do Izraela brat nadal pisywał do Sambora, odpowiedź nie nadchodziła. Nagle w 1953 roku otrzymał list od Jana Małankiewicza, który przypadkiem usłyszał w radio audycję brata i napisał do niego na adres Polskiego Radia. Treść listu była zaskakująca: Małankiewicz pisał, że żona i syn zginęli w katastrofie autobusowej, on jedyny pozostał przy życiu. Brat natychmiast odpisał, ale zanim jeszcze otrzymał odpowiedź, nadszedł drugi list, tym razem od Małankiewiczowej, który wyjaśnił wszystko.

Okazało się, że Małankiewiczowie padli ofiarą szantażu banderowców. „Mogliście przechowywać Żydów, przechowajcie i nas...” Po naszym wyjeździe do Polski zdarzyło się nieszczęście: Rosjanie wpadli z rewizją, znaleźli ukrytych banderowców, zastrzelili Sławka, podejrzewając go o kontakty z bandami. Małankiewiczową wywieźli na Sybir, Małankiewicza, jako niezdolnego do pracy inwalidę, wysłali do sanatorium do Kijowa. Po kilku latach wrócił do Sambora, rok później wróciła jego żona. Na starość

zostali samotni i biedni. Ich jedyny syn zginął. Dwaj Wójcikowie, Józek i Janek, wyjechali do Polski, zerwali kontakt z opiekunami. Cesia Wójcik wyszła za mąż za Ukraińca i za namową męża zabrała cały majątek matki. Małankiewiczowie zostali bez środków do życia, zamieszkali w komórce... Po otrzymaniu tych smutnych wieści zaczęliśmy natychmiast wysyłać paczki odzieżowe z Izraela, żywnościowe z Polski (brat). Przed kilku laty brat sprowadził do Warszawy Jana Małankiewicza, który został tam odznaczony orderem przyjaźni polsko-radzieckiej, przeprowadzono z nim wywiady w radio i telewizji. A ostatnio brat pojechał do Sambora i wystarał się o mieszkanie dla nich. Niemniej sytuacja Marii i Jana Małankiewiczów jest bardzo ciężka. Jak piszą, jesteśmy ich jedyną podporą i rodziną.

VIII Z pamięci na pamięć

Na tym kończą się wspomnienia mojej siostry, w których nic dodać, nic ująć. Jedno trzeba by wszakże dodać. Oto na tym strychu powstawał przez czternaście miesięcy przekład *Dobrze* Majakowskiego, które — jeszcze z pracy nauczycielskiej — znałem na pamięć.

W bibliotece hr. Bnińskiego *Dobrze* oczywiście nie było; musiałem więc tłumaczyć z pamięci i — dodajmy — na pamięć, gdyż dopiero po pewnym czasie Małankiewicz podrzucił mi trochę papieru. Praca ta stanowiła jednak sedno mego ówczesnego życia: i matka, i siostra brały w niej nader czynny udział: słuchały i robiły swoje uwagi.

Wyszło ostatnio (1987) chyba już dwudzieste wydanie tego poematu — śliczne, miniaturowe, ilustrowane rysunkami Majakowskiego, robionymi dla ROSTA, ówczesnego TASS-a. Egzemplarzy 30 000. Odkąd — jako jedna z pierwszych powojennych książek polskich — przekład ten ukazał się w 1945 roku — wznawiano go wiele razy.

W czerwcu 1943, spodziewając się lada dzień likwidacji getta, sypiałem z plecakiem i rewolwerem w zbożu, matka z siostrą spały w getcie.

W nocy 4 na 5 czerwca mżyło i postanowiłem, zziębnięty do kości, wracać przez cmentarz. Znajdowałem się już o kilkadziesiąt metrów od drutów, gdy usłyszałem strzały. Zawróciłem i przekradłem się do Jeana Małankiewicza, zwanego tak, jako że był niegdyś górnikiem we Francji.

Tę jeszcze o rok wcześniejszą znajomość zawdzięczałem swemu uczniowi, Józkowi Wójcikowi, którego matka umierając zleciła pod opiekę Małankiewiczom. Otóż Józek spotkał mnie podczas październikowej akcji (1942) na ulicy, kiedy nie miałem gdzie się ukryć i spytał: „Co słyszać?”. „Ginę” — odpowiadam. On na to: „Niech pan poczeka tu parę chwil. Pójdę

do swego opiekuna, Ukraińca, i spytam.” Po wielu latach dowiedziałem się, jak brzmiała ta rozmowa. „Ce duże dobryj czołowik” — mówi Józek do Żana. A Żan na to: „Chaj prychodyt!”

Otóż owej nocy czerwcowej, gdy zaczęła się likwidacja getta, poszedłem do Żana. Ten umieścił mnie na podwórku pod stogiem. „A jakby Niemcy cię znaleźli — powiada do mnie — to mów, że ja nic nie wiedziałem.” Przeleżałem pod stogiem ze dwie doby, a on tymczasem murował, odcinał cegłami kąt stryszku stodoły. Podśpiewywał nawet sobie tymczasem, aby nie budzić podejrzeń bardzo niepewnych sąsiadów. Powstała skrytka. Później doczołgały się matka i siostra, która opowiada o tym wszystkim w swych wspomnieniach. Uważałem je za zabite, ale ocalały cudem. Przeleżeliśmy we troje u Małankiewiczów. Karmiono nas, niby to idąc do krowy po mleko, faktycznie zaś przynosząc talerze we wiadrze. Przeleżeliśmy tam czternaście miesięcy: od czerwca 1943 do sierpnia 1944.

Co począć z tym ogromem czasu? Jak długo można wpatrywać się w dachówki? Traf chciał, że znałem na pamięć *Dobrze* Majakowskiego. Nauczając za czasów radzieckich w polskiej dziesięciolatce, usiłowałem, jako że podręczników chwilowo brakło, wzbudzić zachwyt uczniów dla poezji rosyjskiej, zwłaszcza zaś dla Majakowskiego, którego przekład powstawał akurat wtedy we Lwowie, jako dzieło kolektywu poetów polskich.

Na stryszku oryginału rosyjskiego oczywiście nie miałem. Papier, jako się rzekło, podrzucił mi po jakimś czasie Małankiewicz. Na razie tłumaczyłem jednak z pamięci — na pamięć. Zaczęło się to od fragmentu szóstego, od rewolucji na wsi. Być może, inspirował mnie widok chłopskiego podwórka, które obserwowałem przez szpary między dachówkami. Najpierw skusiły mnie słowa:

-No-
 ży-
 czkom
 na
 miestie czik

liu-
 to-
 go
 po-
 mieszczika.

Gos-
 po-

din
 po-
 mieszcziczek,

so-
 bi-

 rajtie
 wieszczki-ka!

Do
 szło
 do
 pory,

wy-
 cho-
 di,

 bosy,

Wos-

 tri
 topory,
 podymaj kosy.

Czem
 chuże
 moja Nina?!
Ba-
 ryni sami.
Taszc
 w chatu
 pianino,
 grammofon s czasami!

Otóż w polskim odczuciu ów „nożyczek” pachnie „rizuństwem”.
Nasze rabacje nie podnosiły też kos, lecz stawiały je sztorcem. Wreszcie —
„Nina” to w polskim języku imię nie chłopskie, lecz inteligenckie. Wraz ze

słowa mi trzeba było polszczyć także i te szczegóły obyczajowe; inaczej tekst by nie działał. Rezultat był następujący:

- Ce
pem
w łeb
Łu
pu
cup
Nie-
do-
bre-
go
dziedzi-
ca.
Ja-
śnie
pa-
nie
dziedzi-
cu,
Hy-
baj,
pó-
ki
jeszcze
czas !
Przyszła
na was
pora!
Wychodź,
kto
bosy!
Bier się
do to-
pora!

Sztorcem
 staw
 kosy!

Bo
 od córki,
 od paninej

gorsza
 moja Maryś?!

Do chałupy
 ciąg
 pianino,
gramofon z zegarem!

Te spolszczenia, jak i gwarowości — wszystkie te „bier”, „ciąg” — miano mi później za złe. Oficjalny rusycysta 1945 roku, Seweryn Pollak, nie zakwalifikował mego przekładu do druku. Czynił mu też zarzuty natury — pożał się Boże! — politycznej: w okresie reformy rolnej owo „stawianie kos sztorcem” mogło się okazać niebezpieczne. Przekład ocaliła ówczesna redaktorka „Książki i Wiedzy”

Anna Mińska.

Aby zachować dynamikę oryginału, trzeba też było wprowadzić — prawie niemożliwe w polskim — rymy daktyliczne — na trzeciej od końca. „Czort jemu tiepier'rodnia / Gołowy kaczanom! / Puliemiotow trieskotnia / Syplietsia s taczanok” oddałem przez: „Pokażemy tera im! / Głowy z nich — pokotem! / Jak nie sypnie erkaem / Z taczanek terkotem!”

Wszystko to — kręcąc się na słomie, kāsany przez pchły: „co pchła, to rym” — chciałoby się powiedzieć. Niestety, trwało to dłużej: na jeden rym przypadały miliony pchlich ukąszeń. I nie mówcie mi o dobrych warunkach dla pisarzy. Czasem — wystarczy entuzjazm. Pamiętam pracę nad fragmentem o szturmie na Pałac Zimowy. Trwała ona wiele czasu, gdyż w zwrotce:

Duł,
 kak wsiegda,
 oktiabr
 wiertami
kak dujul
 pri kapitalizmie.

Za Troickij
duli

awto i tramy,
obycznyje relsy wyzmieiw.

— trzeba było za wszelką cenę zachować ów wizg tramwaju na szynach, pobrzmiewający w nowo stworzonym zresztą słowie „wyzmieiw” (coś w rodzaju „wyzmiwszy”). Wreszcie — może po tygodniu, może po dwóch mamrotania znalazłem upragniony zgrzyt tramwajowy:

Dmuchał,
jak zawsze,
wiatrami
październik
jak dmucha
za kapitalizmu
Skręcały
tramwaje
na most przy Giserni
szyn
wyślizganą krzywizną.

I tutaj nie miało zabraknąć przyczepki. Po latach jakaś paniusia miała mi wytknąć, że przecie „Troickij”, o którym mówi Majakowski, to most Świętej Trójcy, nie zaś most przy Giserni („Litiejnyj”), który figuruje w moim przekładzie. Ale — co za różnica? — pytam. Mosty te — jak mogłem przekonać się, będąc po latach w Leningradzie — sąsiadują ze sobą, a czytelnikowi polskiemu i tak — wszystko jedno.

Bawiłem się słowami dokładnie tak samo jak niegdyś Majakowski. „Kto podejdzie do mnie z bliska — pisze on w artykule *Jak robić wiersze?* — słyszy, że ciągle coś mamrocze.” Wyniki tego mamrotania (tzw. „zagotow-ki”) zapisywał w notesie, który — o ile pamiętam — wciąż leży otwarty w pokoju, gdzie popełnił samobójstwo. Czas na mamrotanie miałem i ja. Wydawcy nie nalegali: front był za Stalingradem.

Ale — się zbliżał. Już bomby sowieckie spadły na naszą rafinerię spirytusu, którego beczki wylatywały w powietrze — jedna po drugiej. Gdy kończyłem fragment o szturmie na Pałac Zimowy, Armia Czerwona była już pod Tarnopolem. Na całe szczęście — jak dziwnie to brzmi, nieprawdaż? — Niemcy ich zatrzymali na czas jakiś i mogłem tłumaczenie wykończyć.

Bo później — po 4 sierpnia 1944 — gdy wkroczyli do Sambora, nie było już na to czasu. Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem po wyjściu, to to, że przekład porównałem z oryginałem i przepisałem na maszynie. Było to w gruncie rzeczy nie tyle tłumaczenie, co moje przeżycie drugiej wojny światowej, nałożone na Październikową Rewolucję.

Dalej — życie poszło swoim torem. Ów przekład pchał mnie do przodu. Bez niego — byłbym pozostał w Samborze, gdzie sowieccy gospodarze ofiarowali mi, jako że znam sporo języków, korzystną posadę notariusza. A pieniądze — ja i moja rodzina — potrzebowaliśmy — na gwałt.

Był to mój powojenny debiut. On sprawił, że natychmiast po wkroczeniu Armii Czerwonej wyjechałem do Lwowa, gdzie spotkałem się z przybyłym na połów ludzi Karolem Kurylukiem. „Czego tu będziesz siedział? — jedź do Lublina! Tam powstaje nowa Polska. Będziesz pracował w «Odrodzeniu»! Nazajutrz wsiadłem do samolotu.

No, i zaczęło się...

IX Jak nie zostałem krytykiem oficjalnym

„No, i zaczęło się...” — tymi słowami zamknąłem swe okupacyjne i tuż pookupacyjne wspomnienia. Co się zaczęło? A — Lublin, słynna stołówka przy Radziwiłłowskiej, gdzie mnie umieścił, przywiezionego ze Lwowa, Karol Kuryluk. W embrionalnej symbiozie współżyła tu polityka ze sztuką. Polityczne wielkości mało się dziś pamięta, artystyczne — jeszcze się kołocą, ale i one uchodzą stopniowo w niepamięć.

Dom przy Radziwiłłowskiej był — jak przystało na siedzibę ludowej władzy — skromny. Gnieźdżono się, jak kto potrafił: starsi i zasłużeńsi — Przyboś, Jastrun, Putrament — w oddzielnych pokojach: my, plotki — kołchoźną manierą, hurtem, sypiając na podłodze. Pamiętam noc przegadaną z Adamem Ważykiem, który — choć potęgą, kapitan, zawędrował jakimś cudem do naszego „kołchozu”.

Nie był mi szczególnie sympatyczny. Rabiniczny, pokrętny, uzbrojony w ogromny, dyndający na tyłeczku rewolwer, zdawał się swą marksistowską wszechwiedzą brać odwet za lata nieuznawania, za nie czytane, bo i nieczytelne utwory. Pamiętałem jego list do Schulza, w którym odrzucał przesłaną do „Nowych Widnokręgów” nowelę, list pełen poczucia wyższości. Cóż, awangardzista nieudany odgrywał się na udanym...

Umysł — oschły, talmudyczny, talent — szaradzysty, grywał też świetnie w szachy, ba, studiował matematykę. Trzecią pasją intelektualną była poezja, obwarowana w jego wykonaniu setką przepisów formalnych. Polegała

na rozwiązywaniu wersyfikacyjnych szarad, na podpatrywaniu, Jak się to robi”. Stąd rozmaite obsesje: nienawiść do rymów męskich, do ośmioletkowców tonicznych itp.

Po latach — jako redaktor socrealistycznej „Twórczości” — miał na widok tych zniechędzonych chwytów dostawać istnych drgawek: były w jego odczuciu „niepolskie”. Napisał nawet książeczkę pod nieocenionym tytułem *Mickiewicz a wersyfikacja narodowa*, gdzie dowodził, że używanie ośmioletkowca tonicznego, czyli trocheicznego, świadczy o klasowej obcości. Całą tę formalistyczną kampanię prowadził, dodajmy, pod sztandarem jak najbardziej ortodoksyjnego antyformalizmu.

Przed wojną żył — dowiedziałem się tej nocy — z recenzji filmowych pisywanych do „Naszego Przeglądu”, gdzie pracował jego brat, Wagman; on sam zmienił nazwisko na Ważyk. Za recenzje te — wyznał mi — właściciele kin sowicie mu się opłacali. Wydał poza tym dwa tomiki, gdzie objawił się jako naśladowca kubizujących poetów francuskich, Apollinaire’a i Maxa Jacoba, oraz parę powieści. Teraz znalazł sobie nowego konika: marksizm.

Prawdziwą pasją jego życia była jednak miłość do pozostałej pod okupacją żony, o której los był bardzo niespokojny. I rzeczywiście, miało się okazać, że dała się nabrać na machinację z tzw. Hotelem Polskim. Przekonani — i słusznie — że sporo Żydów ocalało od likwidacji, hitlerowcy obiecali tym, którzy się opłacą, paszporty zagraniczne. Sporo — zmęczonych nielegalnością — zgłosiło się, zgłosiła się i ona.

Skomasowano ich w Hotelu Polskim, gdzie zapewniono im luksusowe warunki, po czym — słuch o nich zaginął. Zagazowano jednak nie wszystkich: spotykałem ocalałych z tej ekipy w Izraelu. Był okres bałaganu i niejedno — nawet u Niemców — szło na chybił trafił. Ważykowi niepokój o żonę podyktował wzruszające wiersze z *Serca granatu*, gdzie motyw kobiety walczącej odgrywa rolę zasadniczą.

W przyszłości — wraz z Jastrunem, Kottem — miał zostać wysforowany przez czas jakiś na czoło literatury polskiej. Ze swą marksistowską sofistyką, z wieczną polskością na ustach stał się dla mnie symbolem owej głęboko nieautentycznej kultury, która miała zapanować w latach najbliższych. Ale o tym — poniżej.

Na razie — wychodząc na ulicę — słyszałem z głośników marsze wojskowe oraz recytację *Modlitwy* Tuwima. Z murów — afisze: karzeł chwytający za nogę umundurowanego olbrzymia, podpis: „Oto jak przywódcy AK — pomagają bić Prusaka.” Jeden z afiszy zawiadamiał o mobilizacji mego rocznika. Poszedłem.

Przed komisją podałem zawód „literat”, wobec czego skierowano mnie do Chełma, do gazety Pierwszego Korpusu Czołgów „Pancerni” na korespondenta. Redaktorem był por. Bartol, oschły i nieprzyjemny służbista, późniejszy nasz ambasador w Holandii oraz długoletni mistrz ceremonii MSZ. Dwaj inni współpracownicy to Drzewożycki i Solber, którzy mieli emigrować do Izraela.

Pamiętam wyjazdy w teren, milicjantki drogowe, wymachujące chorągiewkami, by mnie wsadzić na przygodną ciężarówkę. Pamiętam pobyt w jakiejś zaszytej w lasach jednostce, noclegi w ziemiankach z Sybirakami, którzy myli się rankiem nago w śniegu. Pamiętam żołnierza, zesłanego pod eskortą żandarmerii polowej do karnego batalionu; przytupywał i zaczepiał przechodzące dziewczęta. „Jeszcze tripierka zachwaczu” — śmiał się.

Najbardziej utkwił mi w pamięci wyjazd na Boże Narodzenie do Lwowa, dokąd przeniosła się moja rodzina — matka z siostrą. Był właśnie 24 grudnia, gdy w podszytym wiatrem płaszczu — zimowego umundurowania nam jeszcze nie wydano — jechałem przez Zamość (przy okazji zwiedziłem podcienia zamojskiego ratusza, gdzie przechadzał się, słyszałem, Leśmian) — na Rzeszów.

Długo stałem w okrutnym mrozie na przystanku. Był już wigilijny wieczór, gdy nadeszła jadąca w odpowiednim kierunku ciężarówka. Miejsca w kabinie nie było, można je było znaleźć jedynie na zajmującym platformę, odartym ze skóry śliskim cielsku krowim. Leżał już tam jakiś sowiecki żołnierz w letnim, jak i ja, umundurowaniu.

Podsakując na wybojach, trzymając się kurczowo balasek, mijaliśmy chałupy, gdzie rzęsście płonęły choinki. Pod Przeworskiem szofer zatrzymał, by się rozgrzać. Nigdy w życiu nie przeżyłem tak mocno wigilijnego ciepła, smaku jedzenia, wódki. Po chwili — dalej w ciemność! W Rzeszowie — poszliśmy od razu na bal oficerski, który odbywał się w kasynie poniemieckim.

Odradzano mi jazdę do Lwowa samochodem. Drogi były niebezpieczne. Banderowcy nie przepuszczali umundurowanym: zginął już niejeden. Nazajutrz ruszyłem pociągiem i wylądowałem u matki i siostry, która podjęła przerwane przez okupację studia medyczne. Niedawno odbył się — powiedziała mi — zbiorowy pogrzeb obozu janowskiego, a więc i mego ojca: poległ na spaleniu garstki symbolicznego prochu. Matka była tam i patrzyła na pochówek. Ot i wszystko, co mi zostało w pamięci.

W Chełmie, dokąd wróciłem bez przygód, czekały dwie przyjemne nowiny. Przyznano mi stopień podporucznika (dotychczas byłem oficerem bez stopnia) oraz przeniesiono do centralnego organu WP, „Polski Zbrojnej”.

Przenosząc do wyższej jednostki, ktoś chciał mnie widocznie uchronić przed niebezpieczeństwami zbliżającej się ofensywy. Kto? Może — Ważyk?

17 stycznia fronty rzeczywiście drgnęły, ofensywa ruszyła. Mój udział był raczej skromny: do Warszawy nie wkraczałem, Berlina nie zdobywałem. Ciągnąłem przez Kraków na Łódź, gdzie osiadła „Polska Zbrojna” i gdzie miało się — w braku Warszawy — skupić życie literacko-artystyczne. Dla „Polski Zbrojnej” nic szczególnego — poza jedynym wyjątkiem — nie napisałem.

Za to w Chełmie napisały mi się aż trzy recenzje z wydanych w Lublinie zbiorów poetyckich: z *Wojny i wiosny* Putramenta, *Serca granatu* Ważyka, wreszcie z *Póki my żyjemy* Przybosia. Dwie pierwsze ukazały się w podwójnym (11—12) numerze „Odrodzenia”, który przyniosło wkraczające wojsko na bagnietach. Moja krytyka znalazła się zatem u progów nowego państwa. Miałem wszelkie szanse, aby zostać krytykiem oficjalnym. Ale — nie zostałem.

Już omówienie *Wojny i wiosny* nie spotkało się z uznaniem Putramenta. Tytuł recenzji *Pożegnanie z liryką* zapowiadał, że wierszy więcej pisać nie będzie, co miało się też sprawdzić. Na razie jednak — autor był urażony. „Co to za tytuł?” — wołał, bijąc pięścią w stół. I cóż mogłem odpowiedzieć — podporucznik majorowi? Stałem na baczność...

Bardziej już przypadła do gustu recenzja Ważykowi. Ale i ten miał pretensje o *Szkic poetyki Przybosia* — że nazbyt pochwalny. „Czyś ty widział — wołał poirytowany — by choć jeden z Przybosiowskich neologizmów się przyjął?” Cóż było mu tłumaczyć, że poezja Przybosia opiera się nie na neologizmach, lecz na wieloznacznościach? I tym razem stałem — podporucznik przed kapitanem — na baczność...

W ogóle zaś — na wojaka czy choćby na wojennego korespondenta niezbyt się, Bogiem a prawdą, nadawałem. Toteż zdemobilizowano mnie już w dniu ukończenia wojny, 8 maja 1945. Z zamieszczonych w „Polsce Zbrojnej” artykułów utkwił mi w pamięci tylko jeden, a to dlatego, że — idąc pod prąd — występowałem w obronie powszechnie wówczas znienawidzonych Niemców.

W miarę posuwania się ofensywy Erenburgowskie „Ubij Niemca!” stawało się groźne, trzeba to było ukrócić. Uczynił to w „Prawdzie” sekretarz KC Aleksandrów artykułem *Tow. Erenburg przesadza*, gdzie powoływał się na słowa Stalina: „Hitlerzy przychodzą i odchodzą, naród niemiecki pozostaje.” Erenburg, słysząc, przypłacił to paromiesięcznym milczeniem; mnie — dało to zielone światło.

Skorzystałem z okazji, by opublikować artykuł analogiczny, który bodaj czy mógłby się inaczej ukazać. Występowałem w obronie dzieci niemieckich, więcej w ówczesnej sytuacji powiedzieć się nie dawało.

Zauważmy mimochodem, że w sporze „polityk—pisarz” nie zawsze ten ostatni ma rację. Miałem się o tym przekonać raz jeszcze w 1949 roku, gdy wypadło mi zająć się świeżo wydanymi *Kwiatami polskimi* Tuwima:

Wtłoczonym między dziec niemiecką
A wielki naród stu narodów —
Na wschód granicę daj sąsiedzką,
A wieczną przepaść od zachodu.

— nie mogło mi się podobać. Nie podobało się i stojącym wówczas u steru dawnym kapepowcom (członkom Komunistycznej Partii Polski), których ta nacjonalistyczna tonacja — wielce przecie hołubionego poety — nie mogła nie razić. Tę stronę *Kwiatów polskich* oceniłem krytycznie — bardzo krytycznie. I cóż? Czy mam się dzisiaj swego ówczesnego „konformizmu” wstydzić?

Parę słów o sytuacji politycznej. Przy całej wielopar- tyjności faktyczną władzę sprawowała, czuło się wyraźnie, PPR, powstała z połączenia dwóch grup, różniących się i składem, i ogólnym nastawieniem. W pierwszej — jak w ogóle w przedwojennej KPP — znaczną rolę odgrywali ludzie pochodzenia żydowskiego, którzy uszli przed Hitlerem do ZSRR. Właściwa PPR powstała w kraju, Żydów „oficjalnych” tam wówczas być nie mogło.

Byli jednak — „nieoficjalni”, posiadający dobry wygląd, no i aryjskie papiery. Jednego z takich spotkałem za okupacji, o czym opowiedziałem szerzej w wydanych w 1965 roku *Zapiskach z martwego miasta*. Opowieść ta, którą powtórzę w skrócie, zyskała od 1965 roku nieoczekiwane naświetlenie, wyjaśniające pewne jej punkty.

Pod koniec listopada 1942 kręciłem się — pod świeżym wrażeniem wiadomości o śmierci ojca oraz zwrotu pocztówki do Schulza z dopiskiem „Adresat nieznan” — po Targowicy, gdy pod łokieć ujęła mnie skrzywiona rączka. Obejrzałem się. Był to znajomek z okresu studiów lwowskich, działacz komunistyczny Staszek Tau. Jechał do Krosna, by sprowadzić jakąś potrzebną do „roboty” kobietę. A czy nie mógłbym mu załatwić kontaktu w Samborze?

Po godzinie w moim — świeżo zdewastowanym przez hitlerowską akcję — mieszkaniu (szafy rozwarłe, kanapy rozdarte, fotele wybebeszone) spotkał się Staszek z mrukliwym Ukraińcem o nazwisku — aby było dziwniej — Bandera. Gdy ten usłyszał, że partia jest i działa (w rzeczywistości miała

dopiero zacząć działać po kilku dniach), dwie wielkie łzy spłynęły mu po policzkach.

W trzydzieści lat z górą później, gdzieś w latach siedemdziesiątych, zdarzyło mi się spotkać jednego z założycieli okupacyjnej PPR, towarzysza broni Gomułki. Opowiedziałem mu tę historię. „Jakże! — zawołał. — Ten Staszek Tau był pod nazwiskiem Januszewski sekretarzem wojewódzkim we Wrocławiu. Zmarło mu się rok temu. A jechał nie po żadną kobietę, lecz po Gomułkę, by go sprowadzić na zebranie założycielskie PPR.” Zebranie to odbyło się, jak wiadomo, 1 grudnia 1942 *. W ten sposób znalazłem się mimo woli u źródeł partii.

Przed wojną Polska, jak i cała zresztą — poza Czechosłowacją — Środkowa Europa, była krajem gwałtownego, choć nie w pełni oficjalnego antysemityzmu.

Ortodoksa czy syjonista - to jeszcze pół biedy. Żydzi-Polacy byli znienawidzeni podwójnie: i jako Żydzi, i jako Polacy. Grozili zmonopolizowaniem w swym ręku nie tylko handlu, ale i kultury.

Stąd — paradoksy. Ten sam widz, który zaśmiewał się z kupletów Tuwima, Słonimskiego czy Hemara, mógł któregoś z nich pobić na ulicy. I czyż Ipohorski (który wielbił snadź Tuwima, skoro plagiował jego wiersze) nie pobił w kawiarni Słonimskiego? Pamiętam ręce fryzjera, do którego zaszedłem strzyc się w Chełmie: trzęsły się z nienawiści. Gdym kazał sobie podać lusterko, wybuchnął: „Bądź szczęśliwy, że żyjesz, parchu!”

Teraz przedwojenni pariasi wracali w glorii oficerskich mundurów. Hitler, okazywało się, nie dobił wszystkich, nie odwalił roboty do końca. Niedobici — nie byli w AK, nie mieli powiązań z Londynem, cóż dziwnego, że cieszyli się zaufaniem władz? Przeważnie zresztą byli to przedwojenni komuniści. Czemuż nie mieli być oddani ustrojowi, który ich równouprawniał?

Równouprawniał jednak czy — faworyzował? Rewolucji w Polsce nie było, znaczna część narodu była nowym porządkom przeciwna. Czy robili dobrze, biorąc udział w sprawowaniu władzy, której większość nie uznawała za swoją? Prymas Hlond odmówił potępienia pogromu kieleckiego, zarzucając Żydom „udział we władzach regime’owych”, natomiast pogrom potępił zdecydowanie biskup częstochowski Kaczmarek oraz „Tygodnik Powszechny”.

* Tu Autor się myli. miało ono miejsce 5 stycznia 1942

Odczuwałem nader boleśnie fałszywość tej sytuacji, która miała w sobie coś z maskarady: byłem automatycznie szeregowany po stronie przejmujących władzę. Opowiedziałem poprzednio, jak w 1940 roku w Samborze usiłowano mnie zrobić, wybierając do sowieckiej komisji wyborczej, i jak od przedwyborczego przemówienia na meetingu ocalała mnie rześista ulewa. Tym razem — ocalała mnie przed czymś podobnym — miłość sztuki.

Na pierwszym zebraniu ZLP w Łodzi Mieczysław Jastrun wygłosił referat *Poza rzeczywistością historyczną* („Kuźnica” nr 2), gdzie zarzucał literaturze międzywojennej ucieczkę w rozmaite „sanatoria pod klepsydrą”. W polemice wyraziłem zdziwienie, że za przedmiot ataku obiera nie Kadena na przykład, lecz zaginionego w wojennej zawierusze pisarza, i że atak podejmuje właśnie on, który przed wojną nie był aż tak w „rzeczywistość historyczną” zaangażowany. Polemice towarzyszył szyderczy rechot Ważyka i solidarne milczenie zebranych.

Na poparcie manifestu Jastruna zaczęły się też w krakowskim „Odrodzeniu” ukazywać felietony Jana Kotta „Po prostu”, wołające o „realizm”, polegający na „wyolbrzymianiu i upraszczaniu” rzeczywistości — oczywiście w celach propagandowych. Felietonom tym przeciwstawiłem swoje przekorne „Zawile”, proponując model, w którym mogłaby się zmieścić wielka literatura międzywojenna: Schulz, Gombrowicz, Leśmian.

W studium o tym ostatnim, zamieszczonym w „Odrodzeniu”, postulowałem — i realizowałem — krytykę analizującą nie tylko treść, ale i formę: w tej bowiem, twierdziłem, wyraża się autentyczna postawa pisarza. Studium wywołało burzę i zyskało mi — bardzo wówczas niebezpieczną — opinię „formalisty”. Propozycja analizy formalnej była poza tym niewygodna: stawała na zawadzie dokonującym się z dnia na dzień „przełomom”. Wreszcie — wysuwając na czoło poezji Leśmiana — podważałem artystyczny monopol poetów „Kuźnicy”.

Uprawiali oni wobec poezji międzywojennej politykę spalonej ziemi. Uznaniem ich cieszył się jedynie Słonimski, poeta w końcu drugorzędny. Na zawadzie stał im nie tylko Leśmian: także Tuwim i Broniewski, ba, nawet Przyboś. Ten był jednak zbyt mocny: był redaktorem „Odrodzenia”, symbolicznym reprezentantem chłopstwa, był potrzebny. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie — jego poezja. Na całe szczęście można go było, gdy nastała chwila po temu, zesłać do Szwajcarii — na ambasadora.

O wiele groźniejszy był Gałczyński, ten — cieszył się autentycznym sukcesem. Toteż „Zieloną Gęś” atakowali po kolei: Matuszewski, który określił ją jako „epatowanie mieszczaucha” i „konformistyczną groteskę”*,

Kott, który powątpiewał, czy od tego rodzaju humoru należy rozpocząć edukację społeczeństwa, wreszcie Ważyk, który w programowym przemówieniu wygłoszonym na zjeździe ZLP w 1950 roku nazwał go „drobnomieszczańskim kanarkiem”: aluzja do wiersza Majakowskiego, wzywającego do „ukręcania głowy drobnomieszczańskim kanarkom”.

Wracając do studium o Leśmianie... Zyskało mi ono potężnych wrogów, zyskało jednak i sojuszników. W sukurs przyszedł mi prof. Juliusz Kleiner, proponując za wprowadzenie — jak pisał — nowatorskich metod krytycznych doktorat. Doktorat przeszedł nie bez sprzeciwu. Ministerstwo Szkół Wyższych wystosowało do rektora UJ pismo z ironicznym zapytaniem, czy za artykuły w rodzaju *Możliwości nowej prozy* (uchodzące za najbardziej wojowniczą deklarację mego formalizmu) należy mi się stopień naukowy. Ale jakoś — przeszło.

Wróćmy do sytuacji 1945 roku. Osoba moja budziła, czułem to przez skórę, pewne supozycje. Przychodziłem ze wschodu, przychodziłem w mundurze, należałem do tych, o których wspominał Hlond. Z drugiej strony od rozmaitych wielkości międzywojennych spotykały mnie deklaracje przyjaźni, z których — tylko korzystać. Słowem, znalazłem się w sytuacji „rewizora z Petersburga” — z tą różnicą, że Chlestakow daje się w nią wrobić, gdy ja...

Gdy ja „rewizorem” nie byłem. Byłem kimś, kogo ledwie tolerowano i kogo, gdy rewolucja przestała być „łagodna”, tolerować przestano. Czemuż nie wstąpiłem do partii, gdy wstępował do niej, kto w Boga wierzył czy raczej — nie wierzył? A dlatego, że skoro nie byłem jej członkiem za czasów nielegalności, wstępowanie do niej teraz — uważałbym za niegodne, że pozostając na zewnątrz, mogłem się przeciwstawić jej linii, w razie gdyby przestała mi odpowiadać.

A niebawem — przestała...

X Paryż

Kule zielone i złote — by zacytować Przybosa — tarasowały niebo, gdy zastukałem w Krakowie do drzwi mojej eks-przyjaciółki, malarki. Nie widzieliśmy się — mój Boże!... W dzień rozstania (było lato 1939, mieliśmy

* R. Matuszewski, *Opowiadania przewrotne Żukrowskiego*, „Kuźnica” 1948, nr 8 [A.S.].

jechać — ja do Sambora, ona nad morze) szliśmy ulicą: drogę zagroziła nam procesja ze świecami, śpiewami. Zawahałem się na krawężniku, gdy ona zanurzyła się w tłum, by zniknąć mi z oczu — na lat siedem. Teraz — w styczniu 1945 — pierwszy jej okrzyk brzmiał: „Ty — w mundurze?”

Byłem w mundurze, ba, we wspaniałym czako, które zyskało mi przydomek „Wieniawy naszych czasów”. Nastrój tych dni był niepowtarzalny: ludzie padali sobie w objęcia. Przez zagracony mój pokój na Krupniczej, gdzie dano mi tymczasowe locum — drugie miałem w Łodzi — przewijało się moc kobiet. Nieśmiałość prysła: byłem w modzie. W miarę jednak, jak zaczęto mnie czytać, narastało zdziwienie.

I nie o książki chodziło. Ukazał się — nie bez oporów — mój, zrobiony na strychu, przekład *Dobrze*, przeznaczony w przyszłości do wielkiej kariery wydawniczej; przeszedł wówczas niezauważony. Pisałem z pierwszego rzutu, bez skreśleń i przeróbek, szyderczą, bluźnierczą, utrzymaną w tonacji: „To nic! To matki mojej grób zhańbiony” — *Śmierć liberała*. Opowiadania przechodziły — prawie — niezauważone: odezwał się jeden Wyka.

Pierwszy wyraz zdziwienia dał na łamach „Tygodnika Powszechnego” w felietonie — również pierwszym — Sandauer w *opalach* Stefan Kisielewski. W prasie rządowej — wywodził — krytyka niezależna i obiektywna jest niemożliwa: exemplum — Sandauer. Kisielewski piał z zachwytem:

„Młody krytyk i teoretyk literatury, pełen najlepszych chęci [...], pisał inteligentnie i śmiało, chciał zachować niezależność sądu, a nie tylko międlić w kółko o społecznych funkcjach literatury [...]. Sympatyczny Sandauer zrobił, co mógł w danych okolicznościach, zdobył się na maksimum szczerości i odwagi, gdy oto... Oto w oddali rozległy się ciężkie kroki groźnego profesora marksizmu i grzmiący głos Mieczysława Jastruna przygwoździł wesołka: «Nie będziesz siedział na dwóch stołkach.»”

Kisielewski jednak z właściwą sobie perspektywą felietonisty tygodniowego nie przewidział mających nastąpić zmian. Oto groźny profesor marksizmu został pośmiertnie wzięty na łono „Tygodnika Powszechnego”, gdy „młody krytyk” po staremu zdobywa się na łamach prasy rządowej „na maksimum odwagi i szczerości” — ku mniejszemu, co prawda, zachwytowi Kisielewskiego. Ilekroć ten miałby ochotę się nie pozachwycać, rozlegają się „ciężkie kroki groźnego profesora katolicyzmu i grzmiący głos Jerzego Turowicza przygważdża wesołka...”

Zacytowałem tu własny artykuł sprzed lat trzynastu, który na aktualności, niestety, nie stracił * Niestety wspólnym — Kisielewskiego i moim — było, iż w przeprowadzonym podówczas podziale na katolików i marksistów nie bardzo się obaj mieściliśmy. „Pan nie jest marksistą” — rzekł mi przy pierwszym spotkaniu. „A pan — katolikiem” — odparłem.

Próbował, rzeczywiście, najpierw drukować w „Odrodzeniu” i dopiero gdy tam go odrzucono, przyłgął na stałe do „Tygodnika Powszechnego”. W ogóle zaś — cały ów dwupodział był, jeśli chodzi o interes władzy, błędem. Chcąc osłabić opozycję wzmocniono ją: opozycjoniści wszech maści zaczęli się garnąć do katolików

Zresztą w pierwszych latach większość inteligencji twórczej nie była opozycyjna. Zdobywano ją — najpierw metodą marchewki, „łagodną rewolucją”, potem metodą kija — socrealizmo-stalinizmem. Marchewką były poza tym propozycje wyjazdu na placówki, czynione znającym języki literatom: Wawrzyńcowi Żuławskiemu **, Miłoszowi, mnie. Żuławski przyjął i wytrwał, Miłosz przyjął i odszedł, ja — nie przyjąłem.

Szykowała się inna podróż: Ministerstwo Kultury i Sztuki zaproponowało mi wyjazd do Paryża celem zredagowania antologii poezji polskiej po francusku. Miała się ona ukazać u Seghersa po moim powrocie do Polski, ale bez zaznaczenia mojego w niej udziału, jako że wtedy byłem już w niełasce.

Jechałem do Paryża dwa razy: 1947 *** i 1948—49. Za pierwszym — przez Norymbergę, gdzie toczył się właśnie proces. Amerykanie dali hotel, auto. Kierowca okazał się byłym esesowcem, który o okrucieństwach okupacji nie wiedział — nic. „Winni są tam” — pokazał ręką na gmach sądu, pod który mnie podwiózł.

W ogromnej amfiteatralnej sali — dwie ławy z oskarżonymi. W pierwszej — olbrzymi, opasły, lwi Goering, który — jedyny — słuchać nie chciał; głowę położył na stole, słuchawki — obok. Zeznawał właśnie Jodl. I ten nie wiedział o okrucieństwach okupacji — nic. „Byliśmy otoczeni — mówił — potrójną strażą. Osobiście nie jestem antysemitą. Mam wielu przyjaciół wśród Żydów.”

*Kultura 1976, nr 22 [A.S.].

**Autor z pewnością miał na myśli Mirosława Żuławskiego [przyp. red]

***Autora zawodzi pamięć, było to w roku 1946 [przyp. red.].

Kraj był w gruzach; na byle niedopałek rzucało się paru Niemców, na wzgórzach zamkowych, przysypany żwirem bombardowania, leżał teutoński rycerz z wyciągniętą dłonią. Norymbergę opuściłem po tygodniu w nadmiernym — jak zwykle — pośpiechu. Naglił Paryż, chciałem za wszelką cenę zobaczyć Paula Valéry. Ten jednak zrobił mi kawał: zmarł przed moim przyjazdem, jeszcze w 1945 roku, o czym nie wiedziałem.

Za to — ale jakież mogło być „za to”? — poznałem inne znakomitości paryskie: w „Café Floré” — Sartre’a, „klasycznej — jak mawiała Simone de Beauvoir — urody”, żabiego, zezowatego. Wydostałem skądś jego *L'Etre et le Neant*, książkę, której nadejście przeczuwałem. W moich przedwojennych artykułach jest niejeden ustęp — jakby żywcem z niej wyjęty.

Przy rue de la Paix 7 zbierała się lewica — Aragon, Elza Triolet, Eluard (który — na prośbę sekretarza KPF, Laurenta Casanovy — dokonał przy mojej pomocy przekładu *Notre Dame Przybosia*). Przysiadłem się — jako „delegat z Polski” — do ich stolika. Na wszystkich robiły wrażenie sukcesy armii radzieckiej. „Wyobraź pan sobie — rzekł mi któryś. — Mówią, że w ZSRR są obozy.” „Bo są” — odparłem. Spojrzał spode łba: „Pan może i jest delegatem, ale — czymś innym.” Byłem w tym towarzystwie spalony.

W opactwie Royaumont, dokąd wyjechałem, poznałem bardzo wówczas wziętego pisarza włoskiego, Curzio Malaparte, korespondenta wojennego, jak ja — tyle że z przeciwnej strony. Opublikował wspomnienia z czasów wojny *Kaputt*, teraz zaś ogłaszał kolejne wspomnienia *Le Peau*. Podczas posiłków spożywanych w olbrzymim refektarzu olśniewał anegdotami, gdzie błyskały raz po raz światowe nazwiska: „Kiedy jadłem śniadanie z księciem Walii” albo „Kiedy zażywałem sauny w Finlandii z Himmlerem.”

Ten zatem pisarz — rosły, o drobnej głowie, o fizjonomii renesansowego kondotiera — przeczytał tytułowe opowiadanie mojej *Śmierci liberala*, opublikowane w paryskim tygodniku „Combat” i — zachwycił się. „Ten pański doktor Kirsche! — wołał przez stół swoim stentorowym głosem. — Ten pański doktor Kirsche! Jakże ja go widzę!”

Książka — mówiłem już o tym — ma — jak wszystko, co piszę — coś bluźnierczego. Mówi o likwidacji Żydów z czarnym humorem, wydobywając na jaw przemilczaną wówczas działalność Judenratów. Prezesem jednego jest właśnie doktor Kirsche. Ta bluźnierczość zachwyciła Malapartego. Oto — wedle relacji z rozmowy zawartej w *Journal d'un étranger a Paris (Dzienniku cudzoziemca w Paryżu*, s. 53—59) — co mówił mi o niej:

„Czytałem pańską *Śmierć liberala*. To książka pisarza stamtąd, z jego ironią, okrucieństwem, realizmem, właściwym nie tyle pisarzom polskim —

ci są dość rozgadani i puści, o stylu kwiecistym — co pisarzom żydowskim ze wschodnich kresów Europy. Ma pan w sobie coś z Gogola, z Czechowa * i z tego Żyda rosyjskiego, Babla, autora najpiękniejszej porewolucyjnej książki rosyjskiej „*Konarmii*”.

Mówiąc o pustce, rozgadaniu i kwiecistości literatury polskiej, Malaparte nie mógł Oczywiście uwzględnić jeszcze Gombrowicza. Tego — wprowadzałem właśnie na teren francuski w poświęconym jemu — oraz Schulzowi, który jest może „rozgadany”, ba, „kwiecisty”, ale na pewno nie „pusty” — wieczorze. W Royaumont byli obecni: ze strony polskiej ambasador Jerzy Putrament, z francuskiej — surrealista Philippe Soupault oraz inni, których nie pamiętam.

Malaparte skontaktował mnie — opowiada o tym szerzej we wspomnianej relacji — z wydawnictwem „Table Ronde”, które zawarło umowę na *Śmierć liberala* oraz zamówiło u mnie drugą książkę — pod dość snobistycznym i świadczącym o zafascynowaniu „potęgą Wschodu” tytułem — *Byłem żołnierzem Armii Czerwonej*. Dopiero po jej podpisaniu zorientowałem się, że zawarłem ją lekkomyślnie. Byłem żołnierzem nie Armii Czerwonej, lecz Wojska Polskiego. Udział mój w walkach był raczej skromny, właściwym przeżyciem wojennym pozostawała — okupacja.

Do napisania książki, której po mnie oczekiwano, brakło mi kompetencji nie tylko rzeczowych, także — ideowych. Książka a la Krawczenko byłaby nie w moim duchu, nie miałem też potrzebnych do jej napisania informacji. Represji nie doznałem, w łagrach nie byłem, choć zdawałem sobie, jak się rzekło, sprawę z ich istnienia. Uważałem je jednak za obozy pracy, nie wiedziałem o rozmiarach zjawiska. Ale — czy wolno nie wiedzieć? Przypomnijmy sobie Jodla i owego kierowcę! Gdzie jest granica między niewiedzą a — zamykaniem oczu?

Podpisana umowa stała się dla mnie przyczyną wielomiesięcznej rozterki. Nie były mi obojętne pokusy światowego rozgłosu, owo „Będę cię miał, Paryżu!”, które — patrząc z góry na światła metropolii — wypowiada Balzakowski Rastignac. A jednak — za żadną cenę nie chciałem zrywać z Polską, moją właściwą ojczyzną, zaliczka wydawnicza paliła mnie — niczym Judaszowe srebrniki.

Za poradą wydawcy wyjechałem, by redagować swe wspomnienia, do Bretanii, nad morze. Przez czas jakiś wsłuchiwałem się rzeczywiście w jego

* Tak, ale Gogol i Czechow nie są Żydami. Wpływ Gogola jest jednak w *Śmierci liberala* widoczny [A.S.].

szum, szukając w nim natchnienia, jeździłem z rybakami na połowy, deptałem po wypatroszonych rybach, miałem mdłości od kołysania. Mdłości — zamiast natchnienia — miałem i w sensie moralnym. Wróciłem do Royaumont.

Książkę próbowałem pisać i nadal, tyle że — zamiast pamiętników żołnierza samochwała, co sugerował tytuł — wychodziło mi spod pióra coś wręcz przeciwnego, autokompromitacja. Powstawały *Pamiętniki Mieczysława Rosenzweiga*, rzecz o niemożliwości asymilacji, rzecz, którą częściowo miałem ogłosić dopiero w 1965 roku, w całości zaś — wraz z nie zamieszczanym dotąd rozdziałem, ośmieszającym okres stalinowski — aż w 1982 roku.

Przy pisaniu tego opowiadania właściwym moim dylematem okazało się nie „komunista czy antykomunista?“, lecz „Żyd czy Polak?“. Zagadnienie ze światowego stawało się eo ipso lokalnym. Mimo woli kreśliłem dzieje spolszczonego Żyda, który Żydem być nie chce, przy czym samo owo „niechcenie“ zostaje gruntownie ośmieszone.

Problem analogiczny stawiała przede mną i ówczesna rzeczywistość. W 1948 roku zrodziło się — na mocy uchwały ONZ — państwo żydowskie, którego stworzenie blok socjalistyczny gorąco poparł. W związku z wybuchłą niezwłocznie na terenie Izraela wojną zaczęły działać na całym świecie, m.in. i w Paryżu, komisje werbunkowe.



13. Jean-Paul Sartre i Autor.



14. Spotkanie po latach. Jean Małankiewicz z Autorem.



15. Wyprawa kajakowa (lala pięćdziesiąte).
Pierwsza z lewej (klęczy) Maria Jarema,
obok stoi jej siostra Bronisława, za nią-Autor



16. Berta Sandauer
(zdjęcie z końca lat pięćdziesiątych)



17. Irena Sandauer-Glanz, siostra Autora
(zdjęcie z lat sześćdziesiątych)



18. Zenona Macużanka, redaktor naczelny
"Nowych Książek" z Autorem



19. Artur Sandauer (1969)



20. Artur Sandauer
(styczeń 1980. Wrocław).



21. Anna Świrszczyńska i Autor Festiwal
poetycki, Łódź, kwiecień 1980;



22. Artur Sandauer z żoną, Erną Rosenstein

Dla mnie było to tak, jakby powstanie, które usiłowałem zorganizować niegdyś w getcie, a którego wszyscy niedoszli uczestnicy — prócz mnie — zginęli, wołało o ciąg dalszy. Postanowiłem stawić się przed komisją werbunkową, o decyzji zaś powiadomić Putramenta, który nie czynił obiekcji, zwłaszcza że oświadczyłem, iż jeśli przeżyję, wrócę do Polski.

Pamiętam bicie serca, z jakim — po przejściu wstępnych badań — wspinałem się po raz wtóry po schodach, by otrzymać przydział do jednostki, pamiętam uczucie rozczarowania i jednocześniej ulgi, gdy mi oświadczone, że zgłoszenia — z uwagi na stan zdrowia — nie przyjęto. Po dziś dzień nie wiem, co zdecydowało: czy rzeczywiście względ na stan zdrowia, czy też — na przeszłość: jako oficer „komunistycznego” wojska mogłem się wydawać niepożądany.

Problem samookreślenia stanął znów przede mną w całej ostrości. Żyd czy Polak? A może — jedno i drugie? Wracać czy nie wracać? O tym, by wsiąknąć w polską emigrację, którą zawsze odczuwałem jako coś obcego, mowy być nie mogło. Wybór, jeśli istniał, to między Izraelem a Polską: innego nie znałem i znać nie chciałem.

Co do *Pamiętników Mieczysława Rosenzweiga*, te — miały się ukazać w całości aż po trzydziestu czterech latach. Przez pierwszych siedemnaście — przeszkoda była we mnie, przez dalszych siedemnaście — poza mną. Rozdział ośmieszający okres stalinowski wciąż odpadał. *Zapiski z martwego miasta*, do których *Pamiętniki* w 1965 roku włączyłem, ukazywały się w trzech kolejnych wydaniach — okrojone. W całości puszczono je — jak się rzekło — w roku stanu wojennego 1982, wraz z owym rozdziałem.

Tymczasem zjawiał się w Paryżu Jerzy Borejsza, by werbować francuskich intelektualistów na kongres wrocławski. Zwiedził się zapewne o moich zamiarach od Putramenta, bo zadzwonił i zaproponował objęcie faktycznej redakcji „Odrodzenia”, którego miał pozostać oficjalnie redaktorem naczelnym. Z niezbyt miłej mi Łodzi, gdzie mieszkałem i dokąd sprowadziła się moja repatriowana ze Lwowa rodzina, miałem się eo ipso przenieść do Warszawy.

Wszystkie wahania rozstrzygnęło za mnie — jak to zwykle bywa — samo życie. Z wydawnictwem „Table Ronde” rozstałem się bezkonfliktowo: oświadczyłem, że zamówionej książki napisać nie jestem w stanie, zaliczkę zwróciłem. Dobrze rozstałem się i z Malapartem. Rozmowy ze mną relacjonuje on we wspomnianym już *Dzienniku* niezbyt ściśle. W istocie, stanowiska nasze były odwrotne, niż podaje: to on namawiał mnie do

pozostania w Paryżu, to ja obstawałem przy powrocie. W relacji wykorzystuje ewidentnie swą wiedzę późniejszą.

Wracałem w stanie ostatecznej depresji pociągami dla repatriantów. Włókł się przez wiele dni, sypialiśmy na słomie. „Wraca pan do Stalina?” — okrzyknął mnie na granicy francuski celnik. Za to, kiedy po iluś tam dniach dobiłem do Łodzi, gdzie mieszkanie moje zdążyła zająć przybyła ze Lwowa rodzina, zastałem na biurku list z „Odrodzenia”, proponujący objęcie pracy w redakcji.

XI Warszawa 1949—1955

Znałem już powojenną Warszawę. Byłem tu w maju 1945 z Przybosiem, który jechał na Krajową Radę Narodową. W morzu ruin tu i ówdzie wysepki domów. Widoki — surrealistyczne: schody — donikąd, na wysokości któregoś piętra — pół łazienki. Zieleń — wykarmiona na trupach, słowiki — jak opętane. Przyboś nocował w obrosłym gąszczami hotelu sejmowym. Napisała mu się wtedy *Noc majowa*, gdzie zawarł wszystko: słowiki, trupy, przymusowe milczenie dookoła nich:

Wam, którzyśmy ich śmierć zamilczeli.
Śpiewał słowik — z ich ciszy odmilkły.

Pamiętam: wśród gruzów śliczna dziewczyna podaje mnie — wówczas jeszcze umundurowanemu — z uśmiechem kwiaty. Ale — czy nie poetyzuję? Czy rzeczywiście je podawała? Może raczej — sprzedawała? I czy były to kwiaty? Może raczej — rogaliki? Tu — w charakterze dygresji: właśnie w odradzającym się żywiółowo handlu straganowym miał dojrzeć przybyły z Ameryki Tuwim nowe „założenie miasta”:

...pękata warszawska babina.
Nieśmiertelna paniusia z chusteczką na głowie.
Postawiła, dnem do góry, skrzynkę na ruinach [...]
I zawołała nieśmiertelnym tonem:
„Do chierbaty, do chierbaty,
Do świeżego ciasta!”

(*Ab urbic codita*)

Zjawisko najbardziej dla nowej rzeczywistości charakterystyczne dojrzał Tuwim w spontanicznym odrodzeniu inicjatywy prywatnej. Już to — mówi więcej o jego późniejszym milczeniu niż wszystkie wywody krytyków. Był poetą żywiołu, a kazano mu opiewać — schemat. Był poetą antytotalitarnym, którego nakłaniano do opiewania totalizmu. Ale — nie wyszło. Nie umiał.

Wyszło — z Gałczyńskim. Ten był z natury poetą dyspozycyjnym, siedemnastowiecznym rybałtem, „ornamentatorem” — by użyć określenia Herberta — cudzych idei, wykonującym — niczym jego Wit Stwosz — „co panowie rada uchwalili”. Mógł beztrósco sypać arcydziełami *Zielonych Gęsi* czy *Listów z fiołkiem*, na które — wedle tygodniowego, jak zwykle, określenia Kisielewskiego — „otrząsa się cała myśląca i artystycznie wrażliwa Polska”.* Hm...

Na Tuwimie spoczywał natomiast odziedziczony po romantykach ciężar odpowiedzialności moralnej. Dlatego stać go było, co najwyżej, na niewydarzony list *Do córeczki w Zakopanem*. Utwory jego rodziły się teraz — pisze słusznie Kobyliński w *Domysłach* — „z żelaznego postanowienia: Napiszę t e n wiersz.” Ale ten wiersz nie wychodził. Poeta na serio nie powinien był pozostawać obojętny — a pozostawał — na to, co szło.

Szedł koniec „łagodnej rewolucji”, przymrozek, zimna wojna, same lodowate określenia, świadczące o tym, co się działo tam. Tam — potępiano Pasternaka, Achmatową, Zoszczenkę, tam — wymieniano w nawiasach rodowe nazwiska tych, którzy przybrali nowe, tam — likwidowano „kosmopolitów” i „formalistów”. Należałem do tych ostatnich, ba, i do przedostatnich. I jak tu redagować pismo?

A pisało się coraz gorzej, trudniej, niechętniej. Byłem na ruchomej platformie, której obroty spychały mnie na zewnątrz. Przyjeżdżając z Paryża, wpadłem w matnię: odwrotu nie było, wyjścia — zablokowane. Gdzie dobra forma, w jakiej pisało się *Śmierć liberała*! Gdzie zadziór, z jakim prowadziło się krytyczne kampanie? Publikowałem — z rzadka — artykuły, z których byłem coraz mniej zadowolony. Aż...

* „Tygodnik Powszechny 1947, nr 1 [A.S.].

Aż nastąpiły wypadki, które zmusiły mnie do samo- określenia. Z ramienia redakcji „Odrodzenia” udałem się do Szczecina na V zjazd Związku Literatów, gdzie sformułowano postulat ostatecznego podporządkowania literatury propagandzie. O zjeździe tym nie napisałem ani słowa, choć tego po mnie oczekiwano. Posypały się natomiast deklarujące poparcie dla nowej linii artykuły — Andrzejewskiego, Borowskiego, Woroszylskiego, Kazimierza Brandysa.

Rozdrażnił mnie szczególnie ten ostatni, gdzie drętwa mowa szła w parze z niegramatycznością. Rozkwitu literatury dopatrywał się w rosnącej z roku na rok liczbie nagradzanych przez „Odrodzenie” książek. „Od walki ludów — kończył — wieje pomyślny wiatr, który literatura winna chwycić na (sic!) swoje żagle.” Artykuł *Pomyślny wiatr* rozdrażnił na równi ze mną Pawła Hertza, którego konserwatywny sposób myślenia niezbyt mi odpowiadał. Szło nam jednak obu o literaturę, to połączyło nas — na chwilę.

Hertz poprzestał na krytyce wygłaszanej w czterech ścianach, napisania polemiki podjąłem się ja. Zamieściło ją „Odrodzenie” - chyba po to, by stworzyć fikcję dyskusji, by przejściu do socrealizmu nadać pozór naturalności. Na moje

*Niebezpieczeństwa wulgaryzacji** odpowiedział Brandys grzmiącą *Odpowiedzią wulgaryzatora* ** Mojej riposty *Przeciw literaturze oportunistycznej* już nie opublikowano. Mogła się ukazać aż po siedmiu latach w *Moich odchyleniach*.

W swojej *Odpowiedzi* charakteryzował mnie Brandys jako postać politycznie podejrzaną, wielbiciela „wrogiej” — wedle ówczesnych pojęć — twórczości Kafki. „Bohater *Procesu* Kafki — oświadczał — autora, o którym Sandauer tak często pisywał, szuka Schulza, słynnego stolarza Schulza, o którym nie wiadomo, kim jest, czy jest rzeczywiście i czy w ogóle istnieje...”

U Kafki nie ma oczywiście żadnego „stolarza Schulza”, Brandys pomieszał go z Brunonem Schulzem, który *Proces* Kafki tłumaczył. Starając się swą deklarację prawomyślności odwalić jak najprędzej, wprowadził w pośpiechu jednego pisarza do powieści drugiego: obu nie czytał. Mógł być zresztą pewien bezkarności. Mojej odpowiedzi, gdzie wytykałem mu między innymi tę sypkę, nie opublikowano. Ukazała się, jak się rzekło, dopiero po

* „Odrodzenie” 1949, nr 251 [A.S]

** „Kuźnica” 1949, nr.214 [A.S]

siedmiu latach.

Gwoździem do mojej trumny było to, że nie chcąc popierać nowej linii, zgłosiłem dymisję w „Odrodzeniu”; dymisję przyjęto. Zamiast prasowej — odbyła się w ZLP ustna dyskusja publiczna, na której obecny był cały sztab Wydziału Kultury KC. Obecni byli i pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wśród których — daleka moja krewna, wówczas dyrektor Departamentu Politycznego MSW, Julia Bristiger. Przy tej okazji ją poznałem.

Tu — w charakterze dygresji — parę słów o moich z nią późniejszych kontaktach, które mi ten czy ów, zwłaszcza gdy ma ze mną na pieńku, wypomina; że niby w okresie, gdy on sam siedział jak mysz pod miotłą czy raczej wydierał się wniebogłosy, ja mogłem sobie pozwolić na to i owo, ponieważ byłem przez nią „chroniony”.

Otóż — po pierwsze — pisarzy u nas nie więziono, mogli w najgorszym wypadku znaleźć się w niełasce. Co do mnie — byłem już w niej, gdy p. Julię poznałem. Usiłowała mnie zresztą z niej wydobyć. Wręczyła mi protokoły przedwojennych zebrań komunistycznych (z fabryki w Jeziornie), nakłaniając do ich zbeletryzowania. Poleżały, poleżały, ale nic z tego, oczywiście, nie wyszło.

Po drugie — istnieje zwyczaj u nas, by utrzymywać stosunki towarzyskie z ludźmi, jak długo są potężni, zrywać zaś, gdy być nimi przestają. Widziałem pisarzy zginających się w pas przed p. Julią, ba, odwiedzających ją w szpitalu, póki była potężnym dyrektorem, omijających zaś po jej upadku stolik, przy którym siedziała, i udających, że jej nie zauważają.

Niejedno mieli jej do zawdzięczenia: tego ocalała przed rozstrzelaniem, owemu pomogła wydostać się spod inwigilacji, tamtemu — zmienić obco brzmiące imię na rdzennie polskie. Można, od biedy, zmieniać przekonania; nie należy jednak chyba wraz z przekonaniami odrzucać zobowiązań wobec ludzi.

Wracając do owej dyskusji w 1950 roku... Pamiętam bladą twarz Brandysa; pamiętam owację, jaką mu zgotowano; pamiętam lodowate milczenie, jakim skwitowano moją wypowiedź; pamiętam wzniesione do oklasków dłonie Jastruna, które wobec powszechnego milczenia bezwładnie opadły; pamiętam wystąpienie Pawła Hertza, który — jedyny — ważył się mnie poprzeć.

Po zebraniu przystąpił do mnie kierownik Wydziału Kultury KC, Paweł Hoffman, proponując zgłoszenie samokrytyki. Wybąkałem jakieś „no, no”, ale z samokrytyką się nie kwapiłem. Wobec tego — znalazłem się na „śmietniku historii”. Przez dobrych parę lat nie mogłem publikować esejów ani wydawać krytycznych książek.

Parę słów o ówczesnym rytuale życia literackiego. Oto zanosi się na kolejny zjazd ZLP. O czym jednak rozprawiać przez trzy dni, skoro wszyscy się zgadzają? Oponent był na wagę złota. Toteż w przededniu zjazdów cenzura folgowwała, okien uchylano. I rzeczywiście, odchylenie się znajdował. Był na gwałt potrzebny: jeszcze jego tylko przekonać, a wejdziemy do socrealistycznego raju, będziemy tworzyć same arcydzieła. Stanowisko oponenta miało, oczywiście, swoje niedogody: nie mógł liczyć na wyróżnienie. Miało jednak i korzyści: chodził w glorii męczeństwa.

Przez parę lat byłem takim „chłopcem do bicia”, na którym kto żyw strzepił sobie język. W ślad za mną pojawili się też inni: ot, choćby Ludwik Flaszen. Ja byłem jednak pierwszym królikiem doświadczalnym. W procesach kanonizacyjnych występowałem jako „advocatus diaboli”. Przebiegało to, rzecz trzeba, łagodniej niż gdzie indziej: Sybiru nie mieliśmy, żyliśmy w kraju, gdzie nic nie bierze się aż tak serio.

Tak czy owak — działalności krytycznej musiałem się zrzec; nie stawiano natomiast przeszkód — przekładowej. Czy jednak rzeczywiście nie stawiano? I ta budziła zastrzeżenia. „Tłumaczy Teokryta / Intencja w tym ukryta” — komentował, imputując mi chęć odwrócenia uwagi od walki klasowej, jakiś dowcipniś ze „Szpilek”.

Najbardziej brzemienna w skutki była afera *Łażni* Majakowskiego. Przetłumaczyłem ją w 1950 roku dla mającego wówczas powstać teatru Kantora i Jaremianki; teatr nie powstał, *Łażni* nie puszczono. Nie puszczono jej i w Moskwie. Na pierwszym przedstawieniu w 1930 roku — opowiadał mi w czterdzieści lat później rosyjski poeta Arsienij Tarkowskij — wychodzący z sali widzowie opływali z dala stojącego w hallu poetę: snadź Pobiedonosikow nazbyt przypominał Stalina.

W 1954 roku puszczono w moskiewskim radio *Łażnię*. Od razu też zwrócił się do mnie dyrektor teatru łódzkiego Kazimierz Dejmek z propozycją jej wystawienia. Cztery lata temu inaugurował on socrealizm, wystawiając *Brygadę szlifierza Karhana*; wystawiając *Łażnię* znajdował się

znowu w czołówce. Otóż — jak on w teatrze — tak Brandys — w literaturze. Stąd wziął asumpt do opowiadania *Obrona Grenady*.*

Owa „Grenada” to teatr, którego nazwa ma stworzyć bohatersko-cierpiętniczą aurę dokoła jego aktorów. Mamy rok 1955. Twierdże socrealizmu bronią się jeszcze, ale „w Grenadzie zaraza”. Jak — pyta Brandys — dokonać rewolucji tak, by zachować zagrożone pozycje? Czyhają przecież na nie politycznie podejrzani „ludzie z bródkami”, których przyjaciółki „czytają Kafkę” (znowu ten Kafka) i mówią: „To genialne!” Korzystając z odwilży, mogą się wśliznąć na pozycje dotychczasowych faworytów.

Ale — odpowiada Brandys — jeśli ci ostatni inaugurowali socrealizm, to czynili to w najlepszej wierze: początkowo chcieli wystawić *Łaźnię* Majakowskiego, w czym im przeszkodzono; z bólem serca musieli wystawiać „produkcyjniaki”. Po drugie — sami w minionym okresie nacierpieli się do syta; nie tylko laury zbierali. Należy się im odszkodowanie.

„Wszelkie podobieństwa do osób i faktów rzeczywistych — głosi znana formuła — są czysto przypadkowe.” Brandys korzysta z mojej biografii, którą odpowiednio segreguje; co w niej — jego zdaniem — pozytywne, walka o *Łaźnię*, przypisuje „grenadzystom”, czyli sobie; co negatywne — zdrożne upodobania literackie — mnie oraz moim „przyjaciółkom” (była taka!). W życiu, co prawda, nie nosiłem „bródki”, ale „wszelkie podobieństwa” itd. Tak czy owak — „ludzie z bródkami” są reakcyjni per se i cokolwiek by czynili, „na fali” znaleźć się nie powinni.

Nie dziwota, że *Obrona Grenady* zyskała w „środowisku” tak duży rozgłos. Jako „zagranie” była nader wygodna: monopol na rewolucyjność — dowodziła — mają tylko ci, którzy mieli go dotychczas. Co prawda, i to zagranie miało się z czasem okazać niewystarczające. Nowy mecenas — zachodni — stawiał wymagania surowsze: żądał nie zachowania monopolu na rewolucyjność, lecz — ideologicznego przełomu. I Brandys — go przeżył. Dziś ma — przydzielony przez samego Mitterranda — apartament w Paryżu. Cóż, do takich należy królestwo tego świata.

Wróćmy do 1950 roku! Prócz dyskusji i dymisji miałem więcej grzeszków na sumieniu. Goszczącemu akurat w Polsce Aragonowi powiedziałem o jego świeżo wydanych *Komunistach* coś, co niezbyt przypadło mu do smaku i na co użalał się władzom. Po przemówieniu

*, „Twórczość” 1956, nr 1 [A.S.].

Chruszczowa sam zresztą, słyszę, zabrał się do przeróbki tej powieści. Ale na razie sprawa była przykra.

Byłem w niełasce całkowitej. Poparcia ze strony ówczesnych znakomitości literackich — nawet ustnego — nie miałem. Tuwim wybuchał od czasu do czasu na łamach „Trybuny Ludu” egzaltowanym szlochem. Słonimski, też obarczony grzeszkami, robił co mógł, by mu je puszczono w niepamięć. Potępiał też co sił w klasycznej drętwej mowie świeżo zbiegłego Miłosza: „Judzisz przeciw planowej pracy, która ogarnia coraz szersze masy ludu polskiego, godzisz w budowę fabryk, uniwersytetów i szpitali, wrogiem jesteś robotników, inteligentów i chłopów, którzy po raz pierwszy w historii naszego kraju stanęli do walki o obalenie wyzysku i krzywdy ustroju kapitalistycznego. [...] Słowo twoje, jeśli tu dociera, przyjaźnie brzmi w szynkach szmuglerskich, w knajpach aferzystów...” * I tak dalej przez sześć stronic.

Najzjadlejszy był Ważyk, który — w ramach anty kosmopolityzmu — potępiał cytowanie Racine’a; w ramach anty formalizmu oddawał się orgiom nienawiści na widok męskich rymów, głównie jednak — komentował artykuł Stalina o językoznawstwie i rzucał podwaliny pod budowę „wersyfikacji narodowej”. Co do Jastruna — ten pisał:

Rzygają ogniem na Koreę,
Żelaznym zarażają trądem
I znów powietrze wojny wieje
Na morza żółte i na lądy.

(*Phenia*, ze zbioru *Barwy Ziemi*)

A jednak — pustka nie była całkowita. Członkowie Grupy Krakowskiej — malarze Maria Jarema, Tadeusz Kantor, Jadwiga Maziarska, Erna Rosenstein, Jonasz Stern, Mikulski, Brzozowski, Skarżyński — zachowali godność, nie wystawiając przez lat siedem. Byli wśród nich członkowie partii, był Jonasz Stern, więzień obozu w Berezie Kartuskiej. Dla kierownictwa stanowili oni twardy orzech do zgryzienia, dla mnie stanowili oparcie.

Ale, ale... Nie wspomniałem o swym ożenku. W Paryżu 1949 roku związałem się na stałe z malarką Erną Rosenstein, znaną mi już z przedwojennego

* „Trybuna Ludu” 1951, nr 307 [A.S.].

Krakowa i z wojennego Lwowa. Wiele nas dzieliło: ja — z prowincji, ona — z wielkiego miasta; ja — z polskojęzycznych Żydów, ona — z całkowicie spolszczonej rodziny; ja — z ludzi ubogich, ona — córka emerytowanego sędziego austriackiego — z rodziny zamożnej.

Wiele jednak i łączyło — zwłaszcza okupacja, którą spędziliśmy — ja w ukryciu, ona — przemykając się po groźnych ulicach Warszawy. Łączyła przede wszystkim bezkompromisowość w sprawach sztuki. Sekundowała mi przy pisaniu książki *O jedności treści i formy*, która bez niej — bez jej dobroci, ofiarności, bezinteresowności — nie byłaby powstała.

W książce tej, pisanej bez nadziei na publikację, wydanej zaś aż w 1956 roku, rozważałem zagadnienia, które socrealizm pomijał. Sztuka — mówiłem — istniała przed i istnieć będzie po — zakończeniu walk klasowych; posiada zatem także, a może przede wszystkim, istotę ponadklasową. Na czym ta polega? Na rytmie — odpowiedziałem — w którym dochodzi do wyrazu podporządkowanie się prawom kosmosu.

Jeśli książka ta nie miała widoków na ukazanie się, to miała je inna. W 1952 roku za sprawą Ireny Szymańskiej Państwowy Instytut Wydawniczy podpisał ze mną umowę na zbiór esejów o poetach międzywojennych. Książka wyszła — co tu gadać? — kompromisowa; siatka pojęć, jakimi dysponowałem — była zbyt uboga. O niektórych autorach całej prawdy powiedzieć nie mogłem: nie mogłem wspomnieć o — tak ważnym przecie — żydostwie Tuwima. Po latach uzupełniłem niektóre eseje o nowe, mówiące już całą dostępną mi prawdę.

W sytuacji ogólnego zakłamania najbliższy był mi — o dziwo — Gałczyński. Ten — przyznawał przynajmniej otwarcie, że pisze, by „zarobić żdziebelko — na bułeczkę i maselko”. Był ideologicznie niekonsekwentny, bo zależny to od ONR-u, to od PPR-u, był jednak konsekwentny w dyspozycyjności, gdyż uważał się za „solidnego rzemieślnika”, wykonującego zamówienia. Jemu też jednemu, gdy wszyscy dokoła gdakali lub milczeli, wychodziły arcydzieła.

Nie zapomnę jego domu: świecidełka, bibelotiki, Mozart, Bach. Bywał i u mnie: na jednym z przyjęć zaprezentowałem mu Białoszewskiego, którego świeżo odkryłem. Na nieszczęście wszedł akurat sąsiad z przeciwną, personalną „Czytelniką”. Zmieniło to charakter wieczoru. Po wysłuchaniu „formalistycznych” wierszy Gałczyński zerwał się i odrzucając włosy teatralnym gestem do tyłu zawołał: „A rrewolucja — gdzie?”

Białoszewskiego poznałem nieco wcześniej w podwarszawskiej Kobyłce, gdzie czytał mi *Karuzelę z madonnami*. Tę — uznałem z miejsca za arcydzieło i prosiłem o więcej. Przyniósł stos bibulek, które posegregowałem w cykle i zatytułowałem. W przyszłości — za lat pięć — miały wyjść z tego *Obroty rzeczy*. Na razie wiersze stanowiły pośmiewisko „środowiska”. „A rrewolucja — gdzie?”

Białoszewski uprawiał teatr. Jesienią 1955 szara przy kolejowa ulica Tarczyńska zaroila się od luksusowych samochodów. Na czwarte piętro do olbrzymiej kawalerki Lecha Stefańskiego walił kto żyw, ministrowie, dyplomaci, dziennikarze. „Atmosfera — pisał w «Corriere della Sera» Indra Montanelli — napięta jak na pierwszych wieczorach futurystów.” U mnie telefon się urywał: proszono o wejściówki. Tryumf był całkowity.

XII Bojkot i bojkotanci

Mój tryumf w walce o nową sztukę był w 1956 roku całkowity; mniej całkowity — w walce o siebie. Jeszcze odwilżowy zjazd Związku Literatów Polskich (listopad 1956) obrał mnie jednomyślnie przewodniczącym Komisji Kwalifikacyjnej z pełnomocnictwem skreślania członków-kandydatów, którzy przyjęci pod warunkiem opublikowania w ciągu trzech lat książki — warunku tego nie spełnili.

Wbrew tym oznakom zaufania ze strony środowiska wszedłem z nim niebawem w konflikt. Rozpocząłem mianowicie swą działalność odwilżową od ataku na wprowadzone za socrealizmu zniżkowe kryteria, od kampanii „bez taryfy ulgowej”. Literatura, uważana dotąd za świetną, była — wywodziłem — ot, jaka! Ostrze skierowane było zatem nie przeciw pisarzom drugorzędnym, ale przeciw „pozycjom” — utwierdzonym, lecz zmarniałym, zmierniałym.

Stąd paradoksalny charakter kampanii. Spodziewano się ataku na najgorszych, gdy ja — atakowałem względnie najlepszych. Sprowadzać ją jednak, jak tego po mnie oczekiwano, do tępienia jawnej grafomanii, znaczyłoby — pomniejszać jej format. Jeśli już walczyć — takie było moje hasło — to z najtęższym przeciwnikiem. Cykl „Bez taryfy ulgowej” stwarzał okazję do podważenia fundamentalnych ocen krytyki dotychczasowej.

Chciałem krytyki — bezwzględnej, nieukładowej, totalnej. Takiej jednak żadna literatura — a cóż dopiero polska! — wytrzymać nie może. Wytrzymywali, i owszem, Schulz, Gombrowicz, wytrzymywał — z nowszych — Białoszewski, a i ten nie w całości, nie wytrzymało środowisko. W nim — krytyka moja była arcyniepopularna. Miało się to odbić — bagatela! — na całym moim późniejszym życiu. Moja kampania była w gruncie rzeczy straceniowa.

Zacząłem od ataku na Adolfa Rudnickiego, świetnego przecież niegdyś pisarza, który się stoczył do *Pałeczek*, *Manfredów*, *Ignasiów Łęków*. Rzec, której u nas nie chciano, zamieściłem jako pierwszy w kraju — w paryskiej „Kulturze” (sierpień 1957), czym wywołałem oburzenie ogólne — jednych tym, co, drugich tym, gdzie publikowałem. Po dziś dzień reakcję podobną wywołują wszelkie próby, by wprowadzać kryteria czysto artystyczne. Ma się wówczas przeciw sobie — wszystkich.

Jako walkę o sztukę zrozumiał ją jeden Gombrowicz. „Zelektryzował mnie — pisał w *Dzienniku* — ton tej wypowiedzi — ton kategoriczny. Czyżby na koniec zaczynała się w Polsce prawdziwa rozmowa o sztuce? Ten świetny artykuł jest jak wybite okna w nie przewietrzonym od lat pokoju. To jest uderzenie pięścią w fikcję. W literaturę umowną. W życie umowne.”

Jeden Gombrowicz... Ale czy rzeczywiście on jeden? Zacytujmy innego: „Prawdziwą bombą były jego artykuły z cyklu „Bez taryfy ulgowej”. W każdym normalnym społeczeństwie taka agresywna krytyka byłaby przyjęta, dopuszczalna, nawet pożyteczna. Nie chodzi o meritum sprawy, ale obyczaj literackie. O ile pamiętam, zaatakował najprzód Andrzejewskiego, czyli z wysokiego konia, potem Rudnickiego i Brandysa. To były postaci, które stały w pełnej glorii. Co się stało? Bojkot towarzyski, opluwanie Sandauera dlatego, że ośmielił się powiedzieć coś złego, złośliwego o wieszczach. Przeżył stalinizm, o ile dobrze wiem, bardzo przyzwoicie. Potem przychodzi okres 56 roku i on dostrzegł, jak kolumny marszowe literatów zmieniają kierunek natarcia, z podniesionym czołem, ze sztandarami. Żli — byli poza środowiskiem, jak ów doktor Faul, który oszukiwał bezpiecznie *.

* Chodzi o opowiadanie K. Brandysa *Obrona Grenady* [A.S.]

Było coś podejrzanego w tym zjawisku. Ja nie jestem zwolennikiem samokrytyki, ale stało się to bez jakiejś chwili zastanowienia, refleksji. Zadziwiająca jest ta łatwość przełomów.”

Cytat pochodzi z udzielonego Jackowi Trznadłowi około 1985 roku wywiadu Zbigniewa Herberta*, o którym — wedle zgodnej opinii środowiska — miałem napisać obelżywy pamflet, ba! obezwać go — wedle opinii prof. Błońskiego — „plagiatozem i grafomanem”**. Łatwo się o tym przekonać: ów „pamflet” jest do znalezienia w moich *Pismach zebranych* (t. I, s. 434—460, 1981). Herbert musiałby być obdarzony chrześcijańską zaiste skłonnością do nastawienia drugiego policzka, gdyby — po „plagiatorze” i „grafomanie” — powiedział o mnie, co zacytowałem.

Powiedział jednak — nie tylko to. Oto ciąg dalszy: „Sandauer miał przeciw sobie całe środowisko. I oto przypomniał sobie pan Artur, że był dawno temu redaktorem pisma «Pancerni». Tak jest, zaraz po wojnie [podczas wojny — A.S.]. Wsiadł tedy w czołg i ruszył. I po wszech [chyba «po wsiem» — A.S.], i po tych, co leżeli, którzy nie mogli się bronić, i tak dalej. Uważa się w dalszym ciągu za krytyka niezależnego. Ale... jak ja mówię, no dobrze, panie Arturze, a co z tym Machejkiem, dlaczego Żukrowskiego, Dobraczyńskiego zostawia pan w spokoju? Przecież to giganci pod względem nakładów. — Wie pan, oni są poniżej mego poziomu. Pan powinien być szczęśliwy, że ja pana atakuję, bo atakuję tylko ludzi, którzy są coś warci.”

Zaczniemy od zarzutu, jakoby atakował tych, „którzy leżeli...” Herbert ulega tu presji środowiska, które niezbyt przecież wysoko sobie ceni. Zarzut podobny stawiał mi Andrzejewski, w którego interesie leżało przedstawić siebie wraz z Rudnickim jako „bezbронnych”, mających — w chwili gdy o nich pisałem — zakaz publikowania („Literatura” z 8 I 1976). Jest to jednak nieprawda. I on, i Rudnicki mogli mi odpowiadać, ile chcieli, Rudnicki obezwał mnie nawet kurtuazyjnie w „Życiu Literackim” (1958, nr 17) „nocnikiem”. W obronie obu ruszyła falanga, w mojej zaś — tylko

*Hańba domowa, Paryż 1986, s. 205—206, passim. [A.S.].

**J. Błoński, Mądrość i głupstwo w jednym stały domu, „Polityka” 1976 nr 277 [A.S.]

Gombrowicz oraz na łamach „Twórczości” Konstanty Jeleński (1957, nr 9, *O potrzebie „złyptaków”*).

Namawiając mnie, bym zsiadł „z wysokiego konia”, czyli brał się do Machejków, Dobraczyńskich, Żukrowskich z racji ich wysokich nakładów, Herbert daje dowód, że nie docenia beztaryfowej kampanii i że nie zna mojej działalności z lat osiemdziesiątych (a mówi przecie w 1985 roku), kiedy to właśnie zdarzało mi się zaczepiać i Dobraczyńskich, i Machejków.

Sam zresztą sposób, w jaki zarzut swój formułuje, świadczy o pewnym wahaniu. Niezbyt logiczne jest np. zdanie, że ruszyłem „po tych, którzy leżeli [...] i tak dalej”. Prawidłowa antyteza powinna by brzmieć: „i po tych, którzy leżeli, i po tych, którzy stali”. Herbert wstawia tu nieokreślone „i tak dalej”, czyli wypowiedzieć się wyraźnie nie chce. No, dobrze, panie Zbigniewie, a jak z tym Gombrowiczem? Lansowałem go przecie w kraju i za granicą w chwili, gdy ciążył na nim zakaz publikowania. Czy i to świadczy o „zależności”?

Mówi pan przecie: „Uważa się w dalszym ciągu za krytyka niezależnego”, czyli podaje w wątpliwość moje mniemanie o sobie. Właśnie to zdanie — jako pochodzące od człowieka, którego szanuję, i od poety, którego twórczość stawiam wysoko — dało mi asumpt do napisania dalszej części rozdziału. Wróćmy do odwilży!

Wchodziłem w nią pod najlepszymi auspicjami — zapraszany do Paryża na wykłady o okresie minionym, komplementowany przez Gombrowicza. „Wielkim poważaniem — pisał mi w liście z 7 września 1956 — wypełnia mnie (nie tylko mnie!) Pańska postawa w ostatnich latach.” Jak wykorzystałem, zapyta kto, te wszystkie oznaki życzliwości?

Chodziło mi nie tyle o siebie, co o rzecz (tak właśnie miało się nazywać projektowane wówczas pismo), o zmianę tradycyjnej hierarchii sztuki polskiej na bardzo nowoczesną. Hierarchię tamtą uznawały i władza, i środowisko. Kampania musiała więc siłą rzeczy kierować się przeciw obojgu. Groziło mi znalezienie się „między dwoma krzesłami na ziemi”.

Siły, jakimi dysponowałem, były ogromne. Zaczniemy od Gombrowicza, którego lansowałem na czołowe miejsce w literaturze polskiej. Ten przysłał na moje ręce fragment *Dziennika*, poświęcony odparciu ataków na kampanię beztaryfową. Zamieściłem go w „Życiu Literackim”, jedyny jego fragment, jaki ukazał się w prasie krajowej; była to z jego strony oferta.

Niestety, ofertę odrzucono. Wydano *Bakakaj, Ferdydurke, Trans-Atlantyk, Ślub, Dziennik* spotkał się jednak z nieprzejeżdżanym sprzeciwem. Po pierwszych atakach na „literackie smaczki” nastąpił całkowity zakaz — do chwili, gdy się zorientowano, że robi on karierę światową. Gdy stał się „znakomitym rodakiem”, zaczęto o niego zabiegać. Za późno! Podrażniony pseudowywiadem z 1963 roku, oskarżającym go o pochwałę rzezi hitlerowskich, a roztrąbionym przez prasę krajową, Gombrowicz praw odmówił.

Stawiałem jednak nie tylko na niego, także na Schulza, także na Grupę Krakowską, z której wyłonił się teatr Kantora, na Przybosia i Białoszewskiego, którego — zredagowane przeze mnie dawno temu — *Obroty rzeczy* stały się teraz sukcesem sezonu. Z młodszych krytyków mogłem liczyć na Błońskiego i Flaszena. Projektowana „Rzecz” miałaby do dyspozycji najtęższe pióra. Niestety, nastąpił koniec gomulkowski polityki, koniec odwilży.

Kampanię prowadziłem mimo to dalej. Posłużyłem się wzorcem *Ferdydurke*, która w każdej z trzech części uderza w inny aspekt kultury polskiej: w szkołę, w postępową inteligencję, w tradycję szlachecką. Z trzech części miała się składać i moja krytyczna *Para-Ferdydurke*. Pierwsza — miała uderzać w pseudomoralizatorską literaturę, tj. w Andrzejewskiego; druga — w powierzchowne postępowiczostwo, tj. w Boya, którego zresztą uwielbiałem, w Słonimskiego i w Kotta; trzecia...

Zbierałem się właśnie — po dyskusji rozpetanej na łamach „Polityki” — do pisania trzeciej, gdy zaskoczyło mnie zaproszenie na roczny pobyt do Paryża. Ponieważ — w trakcie kampanii — zrozumiałem, że bez Zachodu nie poradzę, zgodziłem się chętnie. Kogo byłbym w tej trzeciej części „obsmarował”? Nie powiem! Dość wrogów narobiłem sobie tym, co napisałem, by robić ich sobie jeszcze tym, czego nie napisał.

Właśnie — był rok 1959 — ukazała się nakładem „Lettres Nouvelles” *Ferdydurke* ze wstępem Jeleńskie go. Na razie — losy jej pozostawały nie przesądzone, Gombrowicz drżał o nie. Bardzo liczył na mój przyjazd. „Sandauer est arrivé ici il y a une dizaine de jours” — cytuje w *Dzienniku* (t. II, s. 190) otrzymany list świeżo z Paryża. Liczył i — nie przeliczył się: pierwsza francuska recenzja z *Ferdydurke* wyszła spod mojego pióra („Temps Modernes” 1959, sierpień).

Równocześnie myślałem o lansowaniu Schulza. Było to niewiarygodnie trudne: ani przekładu, ani tłumaczy, ani pieniędzy. Na moją prośbę o wyasygnowanie sumy 140 dolarów MSZ odpowiedziało odmownie, jako że „nie widzi powodów”. Na szczęście, znalazł się bezinteresowny wielbiciel Schulza, Allan Kosko. Gdy jego przekład *Martwego sezonu* z moim wstępem ukazał się w „Lettres Nouvelles”, propozycje ruszyły lawiną: Schulz stawał się wielkością światową.

Za to gdy, już po moim ostatecznym powrocie do Polski, książka ukazała się w Paryżu (1961), MSW odmówiło mi paszportu. Dyrekcja zaś Polskiego Radia zaproponowała rozmowę o Schulzu — komuż by, jeśli nie Ryszardowi Matuszewskiemu, który nie tak dawno określił jego opowiadania jako „wkraczające w dziedzinę psychopatologii”* oraz Jerzemu Ficowskiemu, który określał z kolei moje artykuły jako „nieartykułowane pokrzykiwania”? **

Tu — parę sądów o tym zbieraczu spuścizny po Schulzu. Raz po raz podnosi on roszczenia pod moim adresem — a to o listy Schulza, a to o listy do Schulza, które — pierwsze i drugie — miałem sobie rzekomo przywłaszczyć. Co do pierwszych, które mi pożyczył w 1955 roku, zwróciłem mu je na pierwsze żądanie, nie ma więc o czym mówić. Co do drugich: w 1959 roku nieznanymi ofiarodawcami przyniósł mi znalezione na Schulzowskim strychu materiały, m.in. listy, które w wiele lat później opublikowałem w warszawskiej „Kulturze” (z 18.4.1976 i nast.). I tym razem nie byłoby więc o czym mówić, gdyby nie pretensje podniesione wówczas przez Ficowskiego. W odpowiedzi na nie doradziłem mu, by rzecz skierował do sądu, czego jednak nie uczynił.

Wedle jego informacji ktoś z Izraela — zamiast wręczyć materiały przekazane jemu — oddał je, będąc w Krakowie, ówczesnemu dyrektorowi krakowskiego WL, Jerzemu Skórnickiemu, od którego — nie wiadomo jakim sposobem — dostały się w moje ręce. Ponieważ jednak — poza tym, co opublikowałem w „Kulturze” — nic o zawartości tych materiałów nie wie, chodzi więc ewidentnie o — jakieś inne. Skórnicki, gdy mu w 1976 roku o tej sprawie opowiedziałem, wybuchnął śmiechem, używając określenia, którego wolałbym nie powtarzać.

*Ryszard Matuszewski, *Literatura międzywojenna*, Warszawa 1953 [A.S.]

**„Fołkssztyme”, 15.08.1957

Chodzi jednak nie tyle o te roszczenia, co o stosowaną przez Ficowskiego w walce ze mną metodę, która miała się w przyszłości upowszechnić: tu jest on niewątpliwie inicjatorem. Metoda ta polega na wywłaszczaniu z dostarczonych przeze mnie informacji i myśli — albo przez przemilczanie mojej osoby, albo przez takie przeinaczenie informacji, by nie można odkryć autora. Przytoczę przykład.

Otóż gdy Ficowski w latach 1955—56 mnie odwiedzał, przekazywałem mu informacje dotyczące życia i twórczości Schulza, które po powrocie do domu, okazuje się, skrzętnie notował. I nie o to mam do niego pretensję, lecz o to, że gdy je zaczął publikować, pomijał starannie moje nazwisko oraz przekręcał szczegóły, których się ode mnie dowiedział.

Opowiedziałem mu np. że — podczas wspólnie ze Schulzem spędzonych wakacji w karpackiej Bóbrce — Schulz czytał mi początek zaginionej powieści *Mesjasz*, której pierwsze zdanie, jako że dotyczyło mego rodzinnego miasta, utkwiło mi w pamięci: „Wiesz — powiedziała mi rano matka — Mesjasz przyszedł. Jest już w Samborze.”

Otóż Ficowski relacjonuje to w sposób następujący: „Jak wspomina jeden ze słuchaczy tych lektur, była w nich mowa o tym, jak to ludzie podawali sobie z ust do ust radosną wiadomość, że oto Mesjasz nadchodzi i jest już o trzydzieści kilometrów od Drohobycza.”* Tyle właśnie wynosi odległość Sambora od Drohobycza. Dziwnym jednak trafem Ficowski zapomina i nazwiska „słuchacza”, i nazwy miasta (która wskazywałaby na mnie), wobec czego ludzie muszą obliczać zbliżanie się Mesjasza w anachronicznych kilometrach.

Jeśli poświęcam tyle miejsca tej sprawie, to dlatego, że stanowi ona pierwszy przykład stosowanej wobec mnie, z uszczerbkiem dla zwykłej przyzwoitości, metody bojkotu. Nie ma mnie w dziejach literatury polskiej Cz. Miłosza (choć są tam przytaczane dosłownie moje analizy), nie ma w dziejach powojennej krytyki S. Barańczaka (choć tenże jeszcze parę lat temu wyrażał podziw dla niektórych moich studiów), nie ma w książkach o Gombrowiczu ludzi, którzy beze mnie nawet by jego nazwiska nie znali.

Pocieszmy się, że przy obecnym upadku literatury nie można marzyć o większym w niej zaszczycie niż — zaszcucie.

* Regiony wielkiej herezji, *Kraków 1975*, s. 267 [A.S.].

XIII Jak robiono mi gębę

Po październiku 1956 wkracza na teren polski całą potęgą mecenas zachodni, instytucjonalnie — reprezentowany przez Kongres Walki o Wolność Kultury, personalnie — przez Konstantego Jeleńskiego, człowieka dużej oglady, obdarzonego osobistym wdziękiem, pochodzenia, jak i Gombrowicz, ziemiańskiego, biegłego w paru językach i wprowadzonego — jak nikt inny — w kulturę zachodnią.

Łączyła nas zażyłość: w latach 1959—1960, które spędziłem we Francji, patronował moim francuskim debiutom. Łączył też — kult Gombrowicza, którego lansowałem w Polsce, później wspólnie z nim Paryżu. Prawda, coś mi szeptało, że — obok artystycznego — ma w tym również interes polityczny: chciał wysunąć na czoło literatury polskiej pisarza emigracyjnego.

Otóż mecenas zachodni zyskuje od razu pełną przewagę nad krajowym. Górą nie tylko zasięgiem, górą także operatywnością. Co do krajowego — ten po pierwszych wolnościowych oświadczeniach Gomułki znajduje się w pełnym odwrocie, stosuje po staremu rygory administracyjno-paszportowe, wydawniczo-nakładowe itp.

Od stalinowskiego: „Kto nie z nami, ten przeciw nam”, przechodzi wprawdzie do tolerancyjniejszego: „Kto nie przeciw nam, ten z nami.” Nie wtrąca się więcej do formy, interesuje zaś tylko treścią, żąda, by ta była przynajmniej neutralna. Tym samym dopuszcza sztukę eksperymentalną, aluzyjną, słowem, „formalistyczną”.

Nowym wymogom odpowiada Przyboś: ten przynajmniej nie zawadza. Nawet *Elegia tucholska*, gdzie mówi o swym wystąpieniu z partii, jest na tyle niezrozumiała, że nie budzi zastrzeżeń. W walce o sztukę nowoczesną jest to mój sojusznik. Stanowimy wspólnie dużą, choć w środowisku niezbyt popularną siłę. Ta izolacja sprawia, że stajemy się ponętnym łupem dla rozmaitych „wrabiaczy”.

Uznany wodzem środowiska jest natomiast Antoni Słonimski, wielce zasłużony przed wojną jako przeciwnik totalizmu, obrany na odwilżowym zjeździe (listopad 1956) prezesem ZLP. W okresie stalinowskim przechodzi od początkowej potulności do sprzeciwu. Za lat prezesury — a i po niej — czyni ze swego stolika kawiarnianego pole walki, staje się centrum opozycji.

Tymczasem siły skupione wokół hasła sztuki nowoczesnej topnieją. Pierwszy staje okoniem Białoszewski, który daje mi wprawdzie do wglądu swój kolejny zbiór, ale gdy proponuję cięcia, po chwilowym wahaniu odrzuca, chce się uniezależnić. Cóż począć? Zbiory jego, słabsze od dawniejszych, były wciąż znakomite. A może po prostu zmiana poetyki — od zdumiewającej precyzji do ostentacyjnego niedbalstwa, od nad-sztuki do antysztuki. Zatrzymać go w tym „odwoju” nie było sposobu.

Stopniowo oddalali się i Błoński, i Flaszen: tamten, który chował dotychczas swój katolicyzm na użytek prywatny, zaczął teraz ewoluować w kierunku — manifestacyjnego, ten — przetwarzał teatr Grotowskiego, którego był literackim kierownikiem, w rodzaj sekty. U obu pojawiły się — obce i Przybosiowi, i mnie — tendencje mistyczne.

Oddalał się i Gombrowicz, robił światową karierę, listy stawały się rzadsze. Jedyne, co go teraz w mojej działalności poruszyło, było to ukazanie się w Paryżu tomu Schulza z moim wstępem: obu poświęciłem parę stron, którymi otwiera się trzeci tom *Dziennika*. Spodziewałem się, że ewidentnie słabej *Pornografii*, o której, gdy mi ją przysłał w maszynopisie, wyraziłem się mocno krytycznie, nie wyda. Ale — wydał, ba, miał dobre recenzje. Pokazywał mi je z dumą, gdym gościł u niego w Vence.

Jako sojusznik pozostawał Przyboś; łączyła nas galicyjskość; łączyło bardziej warsztatowe niż u literatów warszawskich podejście do sztuki; łączyła „nowoczesność”. Wobec jego działalności powojennej miałem jednak duże zastrzeżenia. Wiersze, o wiele słabsze od dawniejszych, stanowiły okaz awangardowej retoryki. Niestety, tylko one dochodziły do świadomości nowych czytelników; dawniejszych nie pamiętało.

Jeszcze gorzej — z jego ocenami krytycznymi, których efekty były katastrofalne. Jego stawki okazywały się bardzo często błędne. Równocześnie — ponieważ przez cały ten okres (1956—1970) był osobą w gruncie rzeczy miarodajną, wśród publiczności utwierdzało się przekonanie, że poezja to hobby dla specjalistów.

Czy się tym ocenom przeciwstawiłem? Ignorowałem je raczej, by nie zrywać ostatniego sojuszu. Pełny wyraz temu, co naprawdę sądziłem o poezji współczesnej, miałem dać dopiero w kilka lat po jego śmierci. Artykuł *Ewolucja poezji polskiej 1945—68*, opublikowany w „Polityce” (1976), wywołał wielomiesięczną burzę. Ale na razie swobodny nie byłem...

Jeszcze słów parę o postawie politycznej Przybosa, która nie pozostawała bez wpływu na moją. Mimo że zwrócił — jak tylu innych — w 1958 roku legitymację partyjną, był „dobrze widziany”. Jego estetyzm, niezrozumiałość, laboratoryjność stwarzały pozór życia artystycznego, maskowały odwrót od odwilży.

Doznawałem tego odwrótu na własnej skórze. Książki moje się wprawdzie ukazywały — w uderzająco jednak niskich nakładach. *Bez taryfy ulgowej* — której tytuł wszedł do języka — ukazała się w 2000 egzemplarzy. Sypały się konfiskaty. Przez kilkanaście miesięcy zatrzymywano z racji tego właśnie drażniącego tytułu (z tekstem nikt się nie zapoznał) studium *O Gałczyńskim — tym razem bez taryfy ulgowej*.

Decyzja konfiskaty zapadła na zasadzie plotek. „Antysemita i grafoman” — oto jak streściła moją opinię o Gałczyńskim redaktorka pisma, gdzie je złożyłem. Rzecz dotarła do żony zmarłego poety, która udała się ze skargą do — sekretarza KC ds. kultury. Ten z esejem również się nie zapoznał, decyzję utrzymał natomiast w mocy do chwili, gdy ktoś studium przypadkiem przeczytał. Konfiskatę uchylono, dziś rzecz ukazuje się bez przeszkód.

Nie lepiej układały się moje stosunki ze środowiskiem artystycznym. W miarę jak rosło ono w siły, zaczęły w nim obowiązywać rygory, którym trudno było mi się poddać. Należało zapomnieć o cudzych grzeszkach — po to, aby uległy zapomnieniu i własne; jedni wznowiając niedawne artykuły w formie książkowej przerabiali je przy okazji *, inni — w ogóle nie chcieli ich wznowiać.

Rzadko się zdarza w historii literatury, aby pisarz lękał się wydania własnych *Pism zebranych*. Ponieważ ja — jak miało się okazać po latach — nie miałem się specjalnie czego lękać, krytyka zaś w ogóle bez pamięci obyć się nie może, więc wypominałem przy okazji temu i owemu to i owo, co ten i ów określał oczywiście jako „donos”.

O atmosferze czasu decyduje rozzczarowanie do systemu — wspólne tło i środowiskowe rewizjonizmu, i narastającego — wśród powstałej za okupacji PPR i powojennego narybku partyjnego — nacjonalizmu.

* Tak np. Jan Kott zmienia w artykule z 1955 roku wyrażenie „kontrewolucja” na „tragedia akowska”, ale daty 1955 — nie zmienia [A.S.].

Osiągnąć władzę — rozumuje nowe pokolenie — można tylko przez partię. Ergo — wступujmy w jej szeregi, a z Bożą pomocą przemaluje się sztandar czerwony na biało-czerwony...

Dla tych ostatnich, przezwanych „moczarowcami”, byłem kąskiem wielce łakomym, przedmiotem zabiegów. Jako Żyd — stanowiłem bijący dowód ich nie antysemityzmu, jako ktoś w minionym okresie niezbyt dobrze widziany — dowód antystalinizmu. Co najważniejsze jednak — byłem nieodwołalnie skłócony ze środowiskiem.

Czy jednak — nieodwołalnie? Jeszcze w 1964 roku otrzymałem od Słonimskiego propozycję podpisania „Petycji 34”. Była tam mowa o braku o papieru, o cenzurze, o zagrożeniu kultury polskiej. Petycja była skierowana do ówczesnego premiera Cyrankiewicza; niebawem nadała ją prasa zagraniczna*. Gomułkę oburzył przede wszystkim fakt, iż Słonimski, nie czekając na odpowiedź adresata, przekazał pismo korespondentowi prasy zagranicznej. Posypały się represje. Na prowincji organizowano akcje protestacyjne przeciw petycji**. U mnie zjawił się urzędnik, by odebrać świeżo wydany paszport.

Słonimski, gdy go spytałem, czy petycję rzeczywiście przekazał, był, zauważyłem, bardzo stropiony.

Była to z jego strony akcja próbna, mająca scementować nową organizację. Również władze zdawały sobie sprawę z jej wagi i stosowały wszelkie możliwe środki nacisku. Dziesięciu profesorów wycofało swe podpisy w liście przesłanym do prasy zagranicznej. Co do mnie —

* Petycję podpisałem 14 marca 1964. W książce Polska z oddali podaje ówczesny dyrektor Radia „Wolna Europa” Nowak, że rozgłosnia nadała wiadomość o niej dopiero 28 marca. Co do mnie — pamiętam, iż wiadomość o petycji dostała się na łamy prasy zachodniej nazajutrz po jej podpisaniu [A.S.].

** Ob. ciekawą książkę Michała Misiornego Klub Piątej Pory Roku Warszawa 1987 [A.S]

skierowałem list do sekretarza KC, w którym podtrzymuję w pełni treść petycji i oświadczam, że przeznaczałem ją do wiadomości premiera.

W warszawskim ZLP miały miejsce wystąpienia: Marii Dąbrowskiej, która oskarżała władze o represje wobec sygnatariuszy, oraz sekretarza ds. kultury KC, który gęsto się z nich tłumaczył. Był w kłopotliwej sytuacji: dane o przekazaniu petycji miał z podsłuchu, na który powołać się było mu nieporęcznie. W pewnej chwili zabawniś związku, Bella Czajka, wtrąciła: „Głośniej, synku!”, co wywołało wybuch śmiechu wrogiej sali i zmieszało nieszczęsnego do reszty.

Rzecz w tym, że Gomułka wroga głównego widział w inteligencji, nie zdając sobie sprawy, iż ruch narodowy jest skierowany w zasadzie przeciw niemu. Toteż tygodnik „Kultura” oddał czołowemu jego reprezentantowi, Januszowi Wilhelmiemu. Ten — wiedząc o moim skłóceniu ze środowiskiem — zwrócił się do mnie z prośbą o współpracę. Zgodziłem się, choć mnie ostrzegano.

Ponieważ ze środowiskiem łączyły mnie więzy niezbyt serdeczne, nie widziałem racji, by poddawać się jego rozkazom. Walczyłem o sztukę, a walczyć na dwa fronty nie było sposobu. Ważne było zresztą dla mnie co, a nie gdzie publikować. Przyjąłem więc propozycję pod warunkiem, że pierwsze artykuły dotyczyć będą cenzury oraz Gombrowicza i że na oba tematy rozpocznie się szersza dyskusja.

Działalem jednak w świecie, gdzie — jak promień świetlny pod wpływem grawitacji — wartości merytoryczne ulegają skrzywieniu pod wpływem polityki, gdzie bez względu na słuszość tej czy innej opinii natychmiast snuje się rozważania taktyczne, „czyj to człowiek”, natychmiast zaczyna mu się „robić gębę”. A „przed gębą nie ma ucieczki, tylko w inną gębę.

Niemniej współpraca z Wilhelmem zmieniła atmosferę dokoła mojej osoby. Ataki na mnie szły odtąd głównie z jednej strony i miały na celu wykazanie, że krytykiem niezależnym nie jestem. Ślady tej — krzywdzącej, jak mi się wydaje — opinii widać nawet w wypowiedzi na mój temat człowieka tak obiektywnego jak Zbigniew Herbert.

Z tym wszystkim dla mnie współpraca ta okazała się pobudzająca. Był to — mówię o drugiej połowie lat sześćdziesiątych — najpłodniejszy okres mego życia, studia o Gombrowiczu czy o Białoszewskim — najlepsze,

jakie udało mi się napisać; polemiki, w które się przy okazji wdałem — celne i złośliwe. Że narobiłem sobie przy tym moc wrogów, to inna sprawa.

W walce ze mną puszczone w ruch nie przebijającą w środkach plotkę. Gdy wyprowadziłem się z ulicy Iwickiej, to „dostałem wilłę”, gdy na zebraniu ZLP poświęconym zdjęciu ze sceny *Dziadów* spytałem Międzyrzeckiego, co znaczy jego twierdzenie, że „kultura jest niepodzielna” i że „kto dziś atakuje Iksa czy Ypsilon, jutro zdejmie z afisza Mickiewicza”, określono to jako „wystąpienie wybitnie prorządowe”. Na nic wyjaśnienia: wrabianie szło.

Szło i z drugiej strony. Akurat w tym okresie habilitowałem się na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie kierownikiem katedry był ideolog obozu moczarskiego, zawołany wrabiacz i manipulant. Byłem mu wygodny: ani stalinowiec, ani rewizjonista, poza tym — idealne alibi wobec zarzutu antysemityzmu, jaki ciążył na ruchu.

Co do środowiska — kierowało ono opinią Zachodu do tego stopnia, że natychmiast po podjęciu współpracy z Wilhelmem londyński „Encounter” wycofał się z jakiegoś zamówienia; ba, nawet Gombrowicz, gdy go odwiedziłem we Francji, okazał się z eseju niezbyt zadowolony: zarówno z niepochlebnej oceny *Pornografii*, jak i z miejsca druku. „Czy pan wie — rzekł mi — co byłbym zrobił dla pana, gdyby nie — to?”

Mogłem teraz jeździć do Paryża, ile chciałem. Byłem tam spalony: nikt nie pamiętał mi Schulza ani Gombrowicza; pamiętano Wilhelmeo. Starałem się dostarczać tej kampanii jak najmniej powodów. Ale — darmo! Sam fakt drukowania w warszawskiej „Kulturze” nadawał mi piętno „moczarsowca”. Czekałem też chwili, by się z tych koneksji wywikłać, nastąpiła w marcu 1968 roku.

Wojna sześciodniowa stanowiła dla obozu narodowego okazję. Pod pozorem walki z „syjonizmem” można było wypowiedzieć wojnę i przedwojennym komunistom, i samemu Gomułce. Zarzut godził mianowicie pośrednio i w niego; czyż nie miał żony Żydówki i czyż nie zawieszono na jego rozkaz śledztwa w sprawie morderstwa dokonanego w 1956 roku na synu przywódcy PAX-u?

Kierowca taksówki, która uprowadziła ofiarę, był Żydem. Śledztwo — na rozkaz władz — zawieszono. Teraz w związku z rozpętaną falą „anty syjonizmu” nadeszła pora, by skierować ostrze kampanii przeciw temu, kto je zawiesił. Miano już — mówiono na zebraniach — wszelkie dane w

ręku, gdy śledztwu ukręcono głowę. „Dlaczego?” — pytano z sali. Głuche milczenie, rozłożenie rąk.

Złożył mi kiedyś wizytę ojciec zamordowanego. Przyszedł — zasięgnąć rady. Miał w ręku — utrzymywał — dowody, że dokonali tego Żydzi, nóż wbity w serce na modłę rytualną. Co było dla mnie najbardziej niepokojące, to to, iż uważał mnie za „swojego”. A robiłem przecie, co mogłem, by ludzie tego pokroju przestali mnie hołubić, wygłaszałem przemówienia przeciw ruchowi narodowemu i na uniwersytecie, i w Pen- Clubie. Teraz naraziłem się i narodowcom.

Raz po raz wzywano mnie do MSW (gdzie mieli centrum), a to, by dopytywać się o list, wysłany po wojnie sześciodniowej do rodziny, a to o morderstwo na owym chłopcu, a to — o popis satyryczno-piosenkowski, który miał miejsce cztery lata wcześniej, w 1965 roku. Jako sygnatariusz „Petycji 34” miałem wówczas prawo przypuszczać, że jestem śledzony. Toteż w chwili gdy nieproszony piosenkarz rzucił pod adresem Gomułki jakieś obelżywe słowo, uznałem całą rzecz za prowokację i poprosiłem o przerwanie. Sprawa rozniosła się po mieście i nie mogłem swego udziału w niej zaprzeczyć.

Moje przyznanie się do obecności na prywatnym przyjęciu, które przybrało tak drastyczny charakter, wykorzystano, by mnie dodatkowo wrobić. Oto zainscenizowano pozór procesu, piosenkarzowi wytoczono sprawę o obrazę Gomułki, mnie powołano jako — obecnego przy „przestępstwie” — „świadka oskarżenia”. Było to klasyczne „robienie gęby”; ponieważ zaś piosenkarzowi wlepiono — bagatela! — półtora roku, na mnie zrzucono odpowiedzialność za oburzający wyrok. Piosenkarz po zwolnieniu dzwonił zresztą do mnie, szukając kontaktu, nie chciałem jednak znajomości tej kontynuować.

Nie koniec na tym! W tym samym czasie kierownik mojej katedry zainscenizował komedię nominacji na profesora (dotychczas byłem docentem). Postawiony przezeń wniosek upadł jednak — nie bez jego własnego udziału; wystąpił bowiem na posiedzeniu senatu UW przeciw nominacji, którą sam proponował. Jedyny to chyba wypadek w dziejach uniwersytetu.

Nie, nie jedyne. A bo nie jedyne to i UW na świecie. Są inne — o identycznych inicjałach — ot, choćby Uniwersytet Wiedeński. Skorzystałem kiedyś z tej tożsamości inicjału, by wziąć odwet na rektorze, który też przecie

maczał — współ z kierownikiem katedry — palce w wyrządzonej mi przykrości.

Był to okres szczytowego nasilenia zarówno kampanii narodowców, jak i nastrojów opozycyjnych. Spotkanie wrogich sił nastąpiło na zebraniu pracowników katedry — od profesorów po woźne. Jeżeli Jego Magnificencja skorzystała z okazji, by zgromić malkontentów, to ja — by wziąć odwet za wyrządzony mi afront

Czy potrafi sobie przypomnieć — spytałem w swym wystąpieniu — nazwisko stojącego na czele Uniwersytetu Wiedeńskiego rektora, który odmówił profesury pewnemu docentowi. Bo ja — nie pamiętam; utkwilo mi natomiast w pamięci właśnie nazwisko owego docenta — Zygmunta Freuda. Wystąpienie to zyskało dużą popularność, zdobyłem dożgonną sympatię woźnych.

Jeżeli — mimo przykrości, jakich doznawałem — nie dałem się ponieść wszechogarniającej fali emigracyjnej, to zawdzięczam to większej niż kiedykolwiek ilości ukazujących się na mój temat recenzji; pisał o mnie wypróbowany przyjaciel, Julian Przyboś; pisał też — kryjący się z uwagi na zakaz druku pod pseudonimem „Julia Hołyńska” — Stefan Kisielewski.

Siły podobne znalazły się i w partii; działały jednak inną drogą. Akurat otrzymałem zaproszenie z Francji na wykłady. Wniosłem o paszport. I tu jednak był ktoś, kto chciał mnie — a choćby i drogą przymusu — zatrzymać. Ten ktoś sprawił, że mego syna, którego zawieszono nieco wcześniej w prawach studenta, powołano do wojska, czyli — w ówczesnej sytuacji — do karnego batalionu. Wszystkie instancje pozostawały niedostępne do chwili, gdy oświadczyłem, że wyjazdu się zrzekam. Wówczas węzeł się rozplątał.

No, i zostałem.

Tu — urywam książkę, która — jak z samego tytułu wynika — jest już w swym założeniu niemożliwa do ukończenia, dopóki — jestem. Ten tytuł postuluje śmierć autora, jest więc — jak całe jego życie — samobójczy.

Spis ilustracji

1. Berta Sandauer
2. Abraham (Adolf) Sandauer
3. Adolf, Berta, Herman Sandauerowie
- 4,5. Artur Sandauer w dzieciństwie
6. Ratusz w Samborze
7. Kościół farny w Samborze
8. Herb Sambora
9. Tzw. dworek myśliwski w Samborze
10. Dom przedmiejski w Samborze
11. Artur Sandauer z przyjaciółmi
12. Józef Wójcik
13. Jean-Paul Sartre i Artur Sandauer
14. Jean Małankiewicz z Autorem
15. Wyprawa kajakowa
16. Berta Sandauer w końcu lat pięćdziesiątych
17. Irena Sandauer-Glanz w latach sześćdziesiątych
18. Zenona Macużanka z Autorem
- 19,20. Artur Sandauer
21. Anna Świrszczyńska i Autor
22. Artur Sandauer z żoną.

Zdjęcia 6, 7, 8, 9, 10 pochodzą z książki A. Kuczery „Samborszczyzna” (repr. J. Furtak; poza zdjęciem 6 — repr. Zakład Reprografii BN Warszawa); zdjęcie 13 wykonał J. Kosidowski, pozostałe pochodzą z archiwum Autora.

Printed in Poland

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991 r. Wydanie pierwsze Nakład
4800 + 200 egz. Ark. wyd. 6,7. Ark. druk. 9,5. Papier druk. kl. III 71 g,
92 x 114 mm.

Skład i diapozytywy wykonała Pracownia Fotoskładu, Warszawa, ul. Wspólna
69 Druk i oprawę wykonały Pabianickie Zakłady Graficzne
Pabianice, ul. P. Skargi 40/42 Nr zam. 35/1101/91